Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 10 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 1 - 4 maja 1947 r. | Nr 18 (97)

Tadeusz Papier

KRONIKA FABRYKI

STARE I MŁODE POKOLENIE

Otwieram wam na 1 Maja **Kronikę fabryki**, nic więcej, resztę znacie—o sojuszu chłopsko robotniczym, uspołecznieniu, o Planie Gospodarczym. Ale fabryka sama dziś jest mniej znana młodzieży wiejskiej niż staremu pokoleniu chłopów. To nie żarty. W latach 1901 — 1910 z samej Galicji na zamorską emigrację wyjechało pół miliona chłopów polskich. A z 300 tysięcy emigrantów z ostatniego dziesięciolecia w XIX wieku wróciły w następnym dziesięcioleciu tysiące zaprawionych w amerykańskich fabrykach chłopów, spływało corocznie 100 milionów koron, ratując od zagłady galicyjską nędzę drobnorolnych i bezrolnych. Pomyślcie, że ta rozstrzygająca pomoc chłopa-robotnika z za oceanu równocześnie hamowała przewrót społeczny na wsi, podtrzymywała rozwój stronnictwa bogatej wsi...

Jeszcze w **Pamiętnikach Chłopów** — fabryka, technika, oceany, świat widziany własnymi oczami jest istotną treścią życia przodującej, znacznej części starszego pokolenia.

Ale w **Młodym Pokoleniu Chłopów** (lata 1930 — 39) nie ma już tych elementów. Urywa się nić najistotniejszego związku wsi z postępem i nowoczesną techniką produkcji. Wegetuje na wsi 8 milionów bezrobotnych, poza współczesnymi dziejami świata.

KRZYWA PRODUKCJI

Historię fabryki piszą oni, robotnicy. Odczytać ją można nie tylko na wykresach, i w oficjalnych sprawozdaniach. Nie tylko w bruzdach twarzy i zgrubieniach rąk. W trzy dni po wyzwoleniu odbyło się pierwsze posiedzenie rady załogowej. Protokół z tego zebrania rozpoczyna historię fabryki. Powiedział wtedy Pełnomocnik Rządu: **Rada decyduje przede wszystkim.** Słowa te otwierały nową epokę w życiu fabryki. Fabryka stała się domem, gospodarstwem wspólnym wszystkich pracowników. Nie przyszło to łatwo. Były i tarcia. Nie podobała się wszystkim rada załogowa. Stanął przeciw niej niektóry inżynier, niektóry robotnik. Lecz entuzjazm z jakim oddawała się pracy garstka zapaleńców, lecz wyniki tej pracy wciągały i innych.

I tak się zaczęło. Wśród powszechnej niewiary. Od 1 konia, od 1 maszyny do pisania, przy 50 proc. zniszczeniu fabryki i braku surowców. Ale już 3 kwietnia, jeszcze przed zakończeniem wojny, uruchomiono fabrykę. Pracowano po 16 godzin, a nieraz całą noc spędzano w fabryce. Zaniedbywano sprawy rodzinne. Pracowano nie rzadko bez zapłaty. Już w II kwartale 1945 przystąpiono do uruchomienia produkcji.

Krzywa produkcji jest łamana, ale ciągle wznosi się do góry. Od 1945 r. do marca br. wzrasta dziesięciokrotnie. Stan zatrudnienia jest wyższy niż przed wojną o około 20 proc. ale i ogólna produkcja półproduktów i barwników przekroczyła (wartościowo) o około 130 proc. liczby przedwojenne. Wykresy pokazują zależność między wzrostem liczby robotników a większą produkcją. Niewielkie powiększenie załogi daje dużo większą produkcję.

ORGANIZACJA

Ten wzrost produkcji jednej fabryki nie jest bez związku z ogólnym planem gospodarczym całego państwa. Sprawozdanie ekonomiczne Kazimierza Karśnickiego w 3 numerze **Myśli Współczesnej** wykazuje, że przemysł chemiczny osiągnął w Polsce w roku 1946 jedne z największych wyników. W porównaniu z rokiem 1945 „wartość produkcji (wg. cen z 1937 r.) w grudniu 46 r. wynosiła ca 40 milionów zł., wobec ca 17 milionów zł w grudniu 1945 r., a więc wzrost 2 i pół krotny". Jest to zasługą poszczególnych załóg fabrycznych, ale wiązać te sprawy należy z polityką gospodarczą państwa, opartą o dwie zasadnicze ustawy gospodarcze: z dnia 3 stycznia 1946 r. o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej oraz o zakładaniu nowych przedsiębiorstw i popieraniu prywatnej inicjatywy w przemyśle i handlu.

„Organizm gospodarczy Polski, pozostający nader długi czas pod działaniem gospodarki wolnokapitalistycznej — pisze Karśnicki — nie mógł być odrazu przestawiony na gospodarkę planową, chociażby nawet z przyczyn natury technicznej — konieczności powołania i zorganizowania odpowiedniego aparatu. Dlatego też wprowadzenie nowych zasad planowania dokonywane było etapami... ograniczając się do zagadnienia produkcji i zatrudnienia.

W roku 1946 rozszerzono stosowanie tych zasad na kwestie zaopatrzenia surowcowego i technicznego, by w II półroczu... przejść do problemów kosztów własnych oraz ustalenia głównych zarysów ogólnego planu gospodarczego i finansowego... wreszcie uchwała KRN z dn. 21.IX. 1946 r. zatwierdziła Trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej, obejmujący okres od dnia 1-go stycznia 1946 r. do dnia 31 grudnia 1949 r."

W takim układzie załoga jednej fabryki musi się czuć związana z innymi. Następuje przewartościowanie celów pracy, która staje się jakby bliższa, bardziej zrozumiała. Robotnik **nie walczy już**, pracując, **o chleb**, to staje się z czasem zagadnieniem wtórnym, robotnik staje się jakby ogniwem jednej wielkiej organizacji, ale ogniwem nie bezmyślnym, a świadomym celowości swojej pracy i pewnym swojego jutra.

DUSZA KAPITALISTY

Dawnych kierowników fabryki nie ma. Nie powrócili. Gdyby przyszli napewno by pracę otrzymali. Rąk w Polsce potrzeba. Ale nie powrócili. Może trudno byłoby im się pogodzić z dzisiejszym duchem gospodarki. Przywykli do innego.

„System kapitalistyczny wychowuje nas na bezwzględnych jego wrogów" — pisał przed wojną w pamiętniku robotnik, mechanik. (**„Robotnicy piszą"**). „Szanowałem w majstrze fachowca, nienawidziłem z całej swojej prostej duszy w nim człowieka. Nazywał mnie wtedy bolszewikiem i zarzucał, że demoralizuję mu cały warsztat. Będąc w takim otoczeniu, zacząłem poznawać coraz bardziej i jaśniej prawa, rządzące życiem, produkcją..."

„Szanowałem fachowca — nienawidziłem człowieka". Przy całym swym uproszczeniu jest to trafna ocena gospodarki kapitalistycznej, polegającej na bezwzględnym wyzysku jednych klas przez drugie. Wielkość produkcji w krajach kapitalistycznych nie może świadczyć o wyższości ustroju. Produkcja zależy od całego szeregu czynników, ale wyzysk człowieka przez człowieka, niewolnictwo robotnika, najwyraźniej przejawia się w ustroju kapitalistycznym. Polska zdobyła prawdziwą niepodległość i suwerenność nie tylko wtedy, kiedy żołnierz polski szturmował Berlin, ale i kiedy sejm uchwalał ustawę o nacjonalizacji przemysłu. Ten moment dalej posuwa nasze dzieje, niż samo zwycięstwo militarne.

KLASA ROBOTNICZA

Fabryka ma to do siebie, że łatwiej niż środowisko wiejskie rodzi solidarność. Środowisko wiejskie jest bardziej zróżnicowane społecznie. Reforma rolna stara się zniwelować te różnice, one jednak istnieją jeszcze. Właściciel 20 hektarowego gospodarstwa trudniej znajdzie wspólną drogę z 2 hektarowym małorolnym niż majster z robotnikiem w fabryce.

A jednak w fabryce są zróżnicowane funkcje, oparte na hierarchii wiedzy, uposażeń. Kierownik, majster, pomocnik, robotnik to rozmaite szczeble znaczenia w fabryce. Łatwiej było w obliczu jednakowo zagrażającego wyzysku zorganizować się klasie robotniczej niż chłopskiej.

„Klasa nie jest — piszą w **Pamiętnikach robotników** Z. Mysłakowski i F. Gross — lecz w pewnych warunkach **staje się**; jej trwanie ma charakter dynamiczny, stałym zaś czynnikiem są raczej warunki ekonomiczne, które w razie konfliktu mogą prowadzić do **uświadomienia** siebie jako klasy".

Zanim błysnął „radosny czerwony Dzień" o którym wspominał ów robotnik w swoim pamiętniku — klasa robotnicza przeżyła wiele tragicznych zrywów. Od czasu pamiętnego kongresu paryskiego na którym uchwalono międzynarodowe manifestacje robotnicze na dzień 1 maja, aż po rok 1945 hasła majowe ulegały zmianom. Dawniej walczono o godzinę odpoczynku, o dodatkowy chleb, o dobrą wodę do picia, o większy zarobek. Walczono również przeciw różnaitym ,ukazom" zamykającym szkoły średnie przed dziećmi „stangretów, lokai, kucharzy, sklepikarzy i praczek". Manifestacje były pięścią wyciągniętą do góry, grożącą. Jeszcze przed wojną pochody majowe oznaczały tylko **sprzeciw**.

Dzisiaj ten problem pierwszomajowy rozrasta się. Poszerza. Obejmuje już nie tylko ulice. Nie jest własnością tylko klasy robotniczej. Wyrasta z podstawowych założeń polityki gospodarczej państwa, wielkich reform społecznych. Jest nie tyle walką, ile **tworzeniem**. Celowym tworzeniem robotnika, chłopa, naukowca, żyjących w określonych warunkach historycznych i gospodarczych.

KULT TECHNICZNYCH UDOSKONALEŃ

Charakterystyczną cechą gospodarki „Boruty" jest oszczędność. Nic nie może się zmarnować. Oddziały zbierają skrzętnie wszelkie odpadki, złom, niepotrzebne nikomu skrawki blachy. W budowanej obecnie stołówce przewidziany jest kanał do zbierania tłuszczu z mytych naczyń kuchennych. Tłuszcz obróci się na mydło. Teraz jeszcze korzysta się z prądu elektrowni miejskiej. Kosztuje to jednak drogo. Borucciarze dobudowują jeszcze jedną kotłownię, aby zwiększyć prężność pary wodnej. Para ta nie będzie tylko zużywaną w poszczególnych oddziałach, lecz zanim tam zostanie doprowadzona, przedtem wykonana olbrzymią pracę poruszając turbinę własnej elektrowni. Fabryka jednak prądu nie wykorzysta tylko dla siebie. Elektrownia fabryki rozprowadzi światło po okolicznych wsiach, w ten sposób połączy sprawy wsi, ludzi i ziemi w jedną całość.

Ta troska o oszczęność i postęp tym się różni od przedwojennej, że jest dobrowolna, ochotnicza, że przypomina troskę chłopa o własne gospodarstwo. Uczniowie wysłani przez fabrykę na naukę do szkół technicznych powracają i starają się ulepszyć urządzenia fabryczne. Dyr. Smolarski mówi: Dążymy do szerokiej technizacji, przerabiamy stary system produkcji na nowoczesny, żeby najmniej było trucia, najmniej pracy rąk. Dobudowujemy odnogi kolejowe, które ułatwią dowożenie towaru. Trans porter — zwykła rzecz, ale przedtem ile robotnicy się namęczyli i namarzli, zanim ułożono góry lodu — dziś nasz uczeń wybudował elewator, który zastępuje żmudną pracę rąk. Fabryka unowocześnia się, ale nie tylko w kierunku technizacji. Następuje też wychowanie człowieka. Na miejscu biednego, wymęczonego robotnika chcemy postawić istotę myślącą, czującą, rozumiejącą pracę maszyny i proces dokonywany wewnątrz niej. Rozumiejącą również harmonię i rytm pracy fabryki w zestawieniu z okolicznymi wsiami, miastami, w zestawieniu z potrzebami ogólnopolskimi, z produkcją polską i zagraniczną.

Czym się różni wiedza takiego robotnika od wiedzy buchaltera, bilansisty, księgowego, urzędnika, mającego najczęściej średnie wykształcenie? Jeden z nich porusza się w zakresie swoich cyfr, okólników, przepisów, drugi kręci pewnie rączką aparatu i zna na wylot procesy chemiczne dokonywane w aparacie. Wiedza jego po latach doświadczeń nie jest ostatecznie mniejsza od wiedzy inteligenta. Buchalter dawno już zapomniał nazw pierwiastków chemicznych, zapomniał i legend o starożytnych bogach, obraca się w świecie swojego biurka, robotnik zna i rozumie procesy dokonywane przed nim, w mowie używa nazw dla przybysza obcobrzmiących, są tam parafenetydyny, wariaminy, naftoelany, a w sprawach ogólnych posiadają obaj równą wiedzę i doświadczenia przeżytych lat. Tylko ręce i twarz robotnika są żółte od wyziewów.

A zresztą — jest pewna różnica. Widać to chociażby na naszym przykładzie — „Boruty". Wobec zapotrzebowania kwalifikowanych sił technicznych przy fabryce uruchomiono trzyletnią szkołę przemysłową z działami mechanicznym i chemicznym. Wielu robotników wysłano na kursy: buchalterów, księgowych, planowania. Wielu dokształca się na miejscu. Otwarte są laboratoria dla studentów politechniki i chemii na uniwersytecie. Bogata biblioteka czeka na studiujących. Inżynierowie „Boruty", ci co zostali, pracują z pełnym poświęceniem, chemicy z dumą pokazują swojemu dyrektorowi — byłemu robotnikowi, synowi 4 morgowego gospodarza, udałe próbki farbników.

Najbardziej potrzebuje Polska, naszych osiągnięć, — a to znaczy — wieś przede wszystkim.

PORTRETY OJCÓW

Portrety naszych ojców, pozostawione w **Pamiętnikach robotników i chłopów** charakteryzują czas, który minął. „Patrzyłem wtedy — pisze o ojcu jeden z robotników — na jego spracowane ręce, na napęczniałe żyły, na zniekształcone od okaleczeń palce, na głęboką bruzdę, ciągnącą się spod oka aż po brodę oraz na trójkątną łatę na prawym ramieniu. Myślałem sobie wtedy, że koniecznie tak samo i ja będę siadał na niski stołek, tak samo będę obsypany pyłem drzewnym i tak samo dam buchniaka hałasującemu bękartowi, tak samo wzdychnę ciężko i tak samo wleję kieliszek wódki do gardła przed kolacją."

Lecz to są portrety przeszłości. Nowe tam się tworzą w tysiącach „Borut", „Silesii", hut śląskich i chłopskich spółdzielni, i w mądrym spojrzeniu dziecka, które w **Pamiętnikach** pyta się ojca: „No, a co tam tata robi w tym związku i czy może tata jest czym?"

Anna Kamieńska

NOWA BIESIADA

Droga grupy pisarzy chłopskich wypadła tym razem do świetlicy robotniczej przy wielkiej fabryce, będącej pozycją w krajowym przemyśle.

Poeci, którzy raz i drugi odczytują swoje utwory publiczności ubranej w tak wielkiej, wiecowej niemal hali, przeżywają chwile zwątpień. Wrażenia takiej konfrontacji literatury z odbiorcą służą przesiewaniu prywatności od sprawy pospolitej.

Po wieczorze goście zostali zaproszeni przez robotników do ich dość odrapanej jadalni na poczęstunek.

Nie, ojcze Platonie, nie wujku Ksenofoncie, dziadziu Horacjuszu, autorzy starożytnych biesiad — nikomu nie włożono róż na głowę i żadna zasłona z purpury przykryta kurzem nie zawisła groźnie nad fajansowymi kubkami, w których podano tylko kawę.

Lecz gdy nie pierwsza już obeszła kolejka prawdziwej nowożytnej gorzałki — wywiązała się nie mniej pouczająca i zabawna rozmowa, jak te, które prowadzono na dawnych ucztach o miłości, o przyrządzaniu potraw, wpływie ich na żołądek i o pochodzeniu wyrazów.

Wstał więc dyrektor fabryki ze szklanką w ręku i powiedział:

DYREKTOR: — Pisarze chłopscy, nie wiem, czy chcecie tego, ale opowiem wam teraz, jak pracujemy w naszej fabryce i jakie mamy zamierzenia. Fabryka nasza z chwilą odstąpienia Niemców była w wielkiej części zniszczona. Dawni jej właściciele pozostali zagranicą. Grupa starych robotników, techników i majstrów natychmiast zabezpieczyła pozostały sprzęt i surowiec. Fabryka to maszyny i piece, ale fabryka to przede wszystkim ludzie. Tymczasem ludzi było mało, a grupa tych, którzy się wzięli do odbudowy fabryki, musiała poświęcić jej rzeczywiście całe swoje życie, cały swój czas. Siedzą tu wkoło moi koledzy-robotnicy, majstrowie, technicy i inżynierowie. Zapytajcie ich, ile nocy z rzędu spędzali na fabryce, ile razy zapomnieli o posiłku, zapominali o należnym im prawie do życia rodzinnego, odpoczynku, rozrywki. Siedzi tu kolega robotnik, członek Polskiej Partii Robotniczej — powie wam, ile się wtedy u nas mówiło o pozycjach i mandatach, a ile o cenach surowców, o planach budowy i kształceniu fachowców. Siedzi tu kolega majster, był z nami od początku, powie wam, o czym się wtedy między nami mówiło, ile o płacy, a ile o pracy. Pisarze chłopscy, może was to zgorszy, może wam się to wyda dziwne, że w tych historycznych dniach, gdy tworzyło się Państwo Polskie, gdy przeprowadzano reformy — musimy myśleć i pamiętać o jednym — mieliśmy swoją fabrykę w rękach, trzeba ją było puścić, uruchomić produkcję i to nie zwlekając. Myśmy wiedzieli, że front grzmiał za nami, że inni trudzili się i myśleli o całości. Lecz fabryka stała się naszym zadaniem bezpośrednim i śmiem twierdzić — obywatelskim. Ile czasu potrzeba na budowę takiego to a takiego pieca koniecznego dla zwiększenia produkcji? — pytamy obcego inżyniera. Odpowiada — 6 miesięcy. Nie, bracie, nie mamy tyle czasu, za dwa tygodnie piec stanie. Inżynier nie chce się podjąć roboty. Deszcze zaczyna moczyć, jesień. Robimy ochronę z desek, słomy i Bóg wie czego. Ogrzewamy budowę, i huchamy na jesienne przymrozki, rzucamy wszystko na piec — i piec w terminie staje, dymi. Chłopscy pisarze, nie dlatego ja o tym wam opowiadam, aby się chwalić, ale żeby pokazać wam, czym jest dla nas nasza fabryka. To nie jest tylko miejsce pracy, biuro, warsztat, gdzie się obsługuje swoje i sprzedaje *zakontraktowany* czas. Fabryka jest nasza — to znaczy, że cyfry produkcji, obrotów, personelu szkolnego, który mógłbym wam podać są datami z historii naszego życia, moich towarzyszy i mojego, koledzy.

Fabryka nasza powiększa produkcję. Produkujemy także na eksport, a plany rozbudowy przewidują znaczne zwiększenie eksportu. Nie tylko jednak zwiększenie produkcji leży w naszych planach — przebudowujemy niektóre zakłady, ze względu na bezpieczeństwo, zdrowotność i wygodę pracy. Mamy, jak widzieliście, dobrą świetlicę. Wkrótce przystąpimy do budowy wielkiej i wygodnej stołówki — i wtedy przyjmiemy was piękniej, niż dzisiaj, jeśli tylko zechcecie nas odwiedzić.

ROBOTNIK: — Gdy zacząłem pracować w fabryce, przed wojną, nikomu się nie śniło i o takiej stołówce. O dwunastej kobiety przynosiły w garnuszkach trochę zupy, kawałek chleba i każdy pod murem przykucnął na trawie czy w rowie koło drogi, zjadł zimne i po obiedzie. Dziś jeszcze ci muzyczka do trawienia przygrywa, a na wieczór zjeżdżają się poeci i czytają wierszyki.

INŻYNIER: — Postęp wyraża się przede wszystkim w narzędziach pracy i formach jej organizacji. Słowa kolegi dyrektora określały nie tylko nasze polityczne stanowisko. Są między nami członkowie stronnictw, są i bezpartyjni. Może polityczna dyskusja nie byłaby między nami beznamiętna, ale nie dochodzi do niej, ponieważ wspólny interes polityczny nas wszystkich pokrywa się z interesem naszej fabryki. Jest to interes poiltyczny, a jednocześnie gospodarczy. Takie jest nasze stanowisko polityczne. Ale i stanowisko społeczne wyraził kolega dyrektor, podkreślając dążność do udoskonalenia fabryki, a więc narzędzi pracy. Co się zaś tyczy tego bezwzględnego oddania się fabryce, pracy, że tak powiem, bez frazesu ofiarnej — to zwrócę się do was, kolego dyrektorze z pytaniami. Czy bez tego poświęcenia, bez zapału i oddania się sprawie — fabryka osiągnęłaby tak szybko ten stopień rozwoju i rozbudowy? Oczywiście, skromność nie pozwala wam odpowiedzieć kategorycznie. Sądzę jednak, że słusznie odpowiem sobie — nie. Może jednak tylko okres przejściowy wymagał tego stanu napięcia woli? Czy też jest to zawsze konieczna nadwyżka nie poddająca się kupnie w żaden sposób?

DYREKTOR: — Widzę do czego dążycie kolego. Jest to po trosze, wybaczcie, ulubiony wasz konik. Sądzicie, że organizacja społeczna, poza moralnym poczuciem solidarności, może się obejść przy dobrej budowie bez zapałów, uniesień i jak wy to tam jeszcze nazywacie, że nawet nie będąc w stanie zapłacić za te niepraktyczne dary, jest nimi obciążona. Tu poeci gotowi uznać mnie za swego, bo oni podobno nie gardzą uniesieniami, za poetę —

POETA: — Bo jest pan nim —

DYREKTOR — Żarty odkładając na stronę, macie rację, kolego, podkreślając tak bardzo wartość organizacji i wdzięczny wam jestem za to. A o poświęcenia nie gniewajcie się na mnie — fabryka idzie, idzie i to podobno nie najgorzej.

MAJSTER: — Pozwólcie że zabierając głos, zwrócę się do was, szanowni nasi goście. Słyszeliście tu wiele o fabryce, jej osiągnięciach, planach i pracy, która jest o tyle jeszcze ofiarna, kolego inżynierze, że bądźmy szczerzy, nie jest płatna tak, jak być powinna. Ale my rozumiemy, dlaczego tak jest to wszystko, co kolega dyrektor tu mówił i co inni koledzy mówili jest prawdą. Pracujemy wszyscy, pracujemy nie mniej, a czasem i więcej, niż robotnik. Dlatego też nie boimy się, że nas wywiozą na taczkach. I wtedy przybywacie wy, szanowni goście, aby uprzyjemnić nam łaskawie wieczór swoimi wierszami i powiastkami.

Byli już tutaj inni. Ale gdy wczoraj usłyszałem o was, pisarzach chłopskich, zrobiło mi się bardzo przyjemnie. I słodko mi do was mówić, choć tu może koledzy niecierpliwią się i ktoś inny lepiej by zabrał głos ode mnie. Zrobiło mi się miło. A zaraz powiem wam, dlaczego. Droga, którą niejeden z nas w dawnej młodości przeszedł do fabryki nie prowadziła znikąd. Kolega dyrektor to mnie rozumie, bo choć on młodszy, ale my z jednej wsi. Droga ta prowadziła ze wsi, z pastwiska, z łąki, z bzu przy chałupie, o który malec wiejski pełzając darł koszulę. A jeszcze to prawdziwiej, że droga ta prowadziła z natłoku ludzi na morgę, z nędzy chłopskiej. Kto jest kolega ten tu, majster? Chłop. A ten kolega robotnik i towarzysz partyjny? Chłop. A tamci? A inni, którzy nie mieli zaszczytu z wami, pisarze siąść przy stole? Chłopi. Dziś robotnicy i niby klasa ludzi inna, odrębna.

Bo i pewne. Nasz kolega inżynier dobrze to wytłumaczył. Czym pracuje chłop? Pługiem, który sam jeden prowadzi, ręką, gdy na siennik go nie stać, widłami. Robotnik narzędziem — maszyną, całą fabryką. Jak pracuje chłop? Pracuje w pojedynkę, dorabia się lub ginie w pojedynkę, ciągnąc za sobą tylko rodzinę. Robotnik sam jeden nie poradzi. A nie poradzi i kolega dyrektor, choć rozumny człowiek i pracowity. Robotnik staje w szeregu, jego praca zależna od pracy innego, jego los od losu wszystkich. Może i na wsi tak jest, ale chłopi tego nie wiedzą, nie rozumieją, przynajmniej nie rozumieli wtedy, jak jam się ze wsią żegnał. Trzymał nas, robotników kapitalista, chłopa — obszarnik. Ale chłop pracując w pojedynkę mniej od świata wymagał, z dala od wszystkiego żył w ciemnocie, nędzy i pracy, której, obywatelu inżynierze, nic nie regulowało, ani organizowało, w pracy wymagającej za darmo sto razy więcej poświęcenia i zapomnienia o sobie, niż byście chcieli. Dlatego ja wam powiem szczerze, pisarze, mnie, gdym młody i silny, choć z biedy wyrosły, stanął do fabryki, stał się robotnikiem, a potem i majstrem, mnie wydało się, że miasto, że fabryka to większy jakiś świat, to postęp; a wieś to samo zacofanie, gdzie ludzie nie mają nawet potrzeb, lepszego życia, mieszkania, oświaty. Pracowałem na fabryce długo, osiwiałem w pracy, a przecież czasem przypominało się i marzyło — wieś, pierwsza orka wiosenna, jakieś błonie, gdzie się grało kamieniami w palanta... A tu przyjeżdżają pisarze chłopscy. Więc może zmieniło się na tej wsi naszej, chłopi przyjeżdżają do nas, robotników, ze swoją pracą kulturalną, chłopi uczą się i piszą. I choć, goście mili i szanowni, niejedno podobało mi się z waszego pisania i zrozumiałam niejedno — nie obrażajcie się, że zapytam was o tych, co zostali na wsi, o naszych braci-chłopów, a zapytam przede wszystkim — jak gospodarują i jak się organizują.

PISARZ CHŁOPSKI: — Dzięki, obywatelu, za wasze słowa i serdeczność. Sądzimy wszyscy tak, jak wy, że zmienione formy pracy i organizacji poszerzą naprzód całą klasę chłopską razem, tak jak dotąd udawało się brać udział w postępie tylko bardziej przedsiębiorczym, czy szczęśliwym jednostkom. Chłop związkowiec, samopomocowiec nie jest już samotnym oraczem na tle skłębionego, groźnego nieba, jak go malowali malarze.

Pragnę, aby dwie szczególnie sprawy pozostały z naszej tu biesiady i stały się zdobyczą wyniesioną z naszego spotkania, niespodziewanego spotkania robotników i chłopów. Pierwszą sprawą niech będzie przekonanie o nowym, nowoczesnym patriotyźmie, patriotyźmie gospodarczym. My, chłopi nie wielu mieliśmy dobrych nauczycieli historii. Szczególnie w byłym Królestwie i Galicji łatwo było być miłośnikiem kraju i wolności, nie mając żadnych kwalifikacyj zawodowych, będąc często bankrutem majątkowym. Kochać ojczyznę — wymagało może wszelkich cierpień i „trucizn zjadłych", ale nie wymagało umiejętności, energii, rachunku. Bohaterstwo i cnota obywatelska w czytankach historycznych nie miały nic wspólnego z pługiem i widłami, które tak nam kolega tu wytknął. Natomiast wy reprezentujecie dziś rodzaj patriotyzmu., tak w istocie bliski chłopu, którego treść życia jest gospodarcza.

Drugą wspólną sprawą niech będzie zagadnienie wzajemnego stosunku i zależności klas — chłopskiej i robotniczej. Choć różne to były formy społecznej niewoli — byliśmy, chłopi i robotnicy we wspólnej niewoli u kapitału. Kapitał przemysłowy skupiał się w pieniądzu, kapitał rolny w ziemi. Koncentracji kapitału przemysłowego odpowiadała podobna koncentracja kapitału rolnego. Nawet parcelacja obdzielająca chłopów najmajętniejszych i to z ziemi coraz podlejszej, gdy najlepsza pozostawała w ośrodkach, nawet pożyczki inwenstycyjne przenoszące ziemię z rąk pracującego chłopa do kieszeni bankiera — wszystko to służyło wzmocnieniu i ratowaniu kapitału rolnego.

W takich warunkach rozwój przemysłu zdawał się chłopom, jak wam właśnie, obywatelu, wyjściem z sytuacji, postępem. Lecz z drugiej strony masy biedującego chłopstwa, wszyscy wasi krewni i powinowaci na wsi nie będąc w stanie kupować produktów waszej pracy — przeszkadzali wam, spychali was w dół, tamowali rozwój przemysłu będący waszym, choć niestety nie tylko waszym, interesem. Tak to się przedstawiało w historii. Zależność ta istnieje — nie jest to tylko zależność kolebki, wspomnień, tego palanta na błoniu, który was rozrzewnia. I niechże rozrzewnia. Ale droga nasza jest wspólna nie tylko stąd — dotąd, ze wsi — do fabryki, ze wsi — do miasta, ale wspólna jest i dalej w przyszłość.

I jedno jeszcze przy tej wódce i kawie: my, cośmy przyjechali, jak to sobie zlekka pokpiwacie, czytać wam na dobranoc po robocie wierszyki — prosimy was, nie lekceważcie sobie twórczości kulturalnej, zajęć nie wymagających może tyle fachowej, co wasze zajęcia, wiedzy, ale wiedzy ogólnej, która przydaje się także w dobrze zorganizowanym społeczeństwie. Ten przesąd o rozdźwięku między pozytywną pracą gospodarczą, a pracą intelektualną, nieproduktywną rzekomo, czy może wyższą, inną — jest mocno podejrzany i trąci bardzo epoką pieniądza, za który kulturę można było kupić nie tanio, a drogo, im drożej — tym wyższej marki kulturę. Jeśli ta epoka nie minęła jeszcze, pracujcie z nami nad wytępieniem jej, a nie bądźcie jak ten chłopek, co się nie znał i na interesach i na kulturze, a o którym taka jest chłopska gawęda:

„Przyniósł chłop do miasta chodniki w domu tkane na sprzedaż. Sprzedał je grzecznemu panu, który część pieniądzy wypłacił i bilet dał do teatru. Podobno krytykiem był czy autorem. Chłop do teatru poszedł, odsiedział swoje i wrócił na wieś. Drugi raz się wybrawszy z chodnikami, znowu do pana zaszedł i otrzymał część długu, a także bilet do teatru. Lecz to bywanie w teatrze tak bardzo mu dokuczyło, że aby się pozbyć kulturalnego ciężaru — za czwartym już razem resztę długu ofiarował uprzejmemu panu. Gdy zaś ujrzał go kiedy na ulicy, wymijał z daleka, bojąc się zwrotu pieniędzy, za którymi szedł obowiązek paru uciażliwych godzin teatru".

Zygmunt Sierp

ODPUST

Raz do roku kwietniem odpustowym,
raz do roku modlitwą przepijaną piwem,
tak inaczej, weselniej,
liturgiczniej po chłopsku,
w dzwonach, trawach, procesjach,
w świecach, księżach i pieśniach
średniowiecznie sędziwych
duch się ucieleśnia
w widowisku urodziwym —
W wielkich drzwiach kościoła
lud się ciżbą przewala,
Bóg z radości płacze łzami woskowymi,
Najświętsza Panienka w pachnącej glorii
uśmiecha się do matek w kopiastych
fartuchach.
Miech organu nabrał gospodarskich
westchnień,
i lunął na głowy melodią kos i sierpów —
pod pięściami słychać w piersiach echo
Boże,
myśli nieprzystojne pod kolanem legły.
Rozsiadły się po bokach kramy cudowności:
medaliki, różańce, pasyjki
i historie święte,
kiełbasy i pierniki,
napój z cytryn, karmelki —
doroczna uczta odpustu
pod śpiących aniołów załogą,
jak witraż chłonąca niebo
kolorową pożogą.

Jan Aleksander Król

Droga do „pół-kolonii" *)

„AUSTRIA PANÓW"

Po r. 1910 w Kongresówce jest 400.000 robotników o wartości rodukcji przemysłowej miliarda rubli. Conajmniej 8/10 tej produkcji idzie na eksport. W tych latach wywóz z Galicji wszystkich produktów łącznie z surowcami rolnymi nie sięga 200 mil. koron. A przecież Galicja miała lepsze warunki naturalne: węgiel, nafta, drzewo, sól kamienna (podstawa przemysłu chemicznego), lepsze warunki na przemysł włókienniczy i rolny. Do rozkwitu przemysłu nie doszło tu jednak z tych samych przyczyn z jakich przemysł powstał w Kongresówce. Był on wszak przemysłem nie krajowym. Wyrażał inwazję niemieckiego i zachodniego kapitału w rosyjskie imperium. Kongresówka chroniła go od ceł, była bazą wypadową. Zacofana gospodarczo Rosja nie mogła się bez niego obejść i od niego obronić tak, jak Austria od inwazji przemysłu i zależności bankowych kapitału niemieckiego. Trzeba to osobliwe widowisko zobaczyć w końcowym etapie. Między r. 1900 a 1910. Niemcy prześcigają Anglię w produkcji żelaza. W tym samym czasie wywóz z Austrii do Niemiec wzrósł o 12 proc., a z Niemiec do Austrii o 127 proc. W tym samym czasie dwa największe narodowe banki rosyjskie dostają się do portfelu banków berlińskich.

Przez cały wiek XIX Austria żyje duchem feudalizmu. Polityczne prądy wolnościowe grożą rozbiciem tego zlepku narodów. Dynamizm nadają im społeczne ruchy wolnościowe. „Wiosna ludów" była czemś więcej, niż wiosną wyzwalających się narodów. I nie Konstytucje i parlamenty. zahamowały ten proces rozpadu, ale trwanie tronu, tytułów i niezmienionej, górującej nadal pozycji ziemiaństwa. Tylko ta warstwa czuje się w obrębie Austrii kosmopolityczną. Premierem rządu jest hrabia albo książę tak dobrze austriacki, jak polski czy węgierski. Nie grozi to rozbiciem cesarstwa. Ale grozi czym innym: upadkiem gospodarczym. „Austria panów" spóźnia się wobec kapitalizmu zachodniego. Tam wyszły na widownię nowe siły społeczne a z nimi ambicje nowej przemysłowej produkcji. Tu hasło industrialnego wyścigu jest niepopularne. Konkurencja zagraniczna zmusza jednak do przystosowania się. Kto tę szansę wygrywa? W pierwszym rzędzie sama Austria, czerpiąca kapitał inwestycyjny z podatków krajowych i ustaw ochronnych, w drugim nie „pańskie" Czechy. Ustala się sojusz dwu sił posiadających: kartelów i wielkiej własności. Ale znaczy to, że kraje rolnicze, w których panuje wielka własność stają się terenem eksploatacji surowcowej dla ośrodków kartelowych. Znaczy to — tu się przemysł nie rozwinie. Tu jest jego rynek zbytu.

Wiosna ludów (r. 1848) przyniosła Galicji na sejm krajowy 87 posłów włościan na 62 szlachty i mieszczan. Ks. Kalinka pisze o tym z oburzeniem. Wszak „pod względem ważności interesów i oświaty różnica między szlachtą z jednej a włościaństwem z drugiej strony większą była w Galicji, niż w którym bądź kraju koronnym Austrii".

„Jeżeli szlachta była sama narodem za Rzplitej polskiej, tem samem daleko więcej stała się nim po jej upadku".

Jest to rok 1852, dwa lata po uwłaszczeniu. Ks. Kalinka w imieniu szlachty galicyjskiej („Pomoc jedyna, tarcza i pociecha jest w tobie samej") pieni się na rząd austriacki. Zniesienie pańszczyzny uderzyło w pozycję narodową ziemiaństwa, w „perłę praw szlachty galicyjskiej".

Dlatego kiedy po klęsce pod Sadową (w wojnie z Prusami i Włochami w r. 1866) zmuszona jest Austria wobec swoich ludów do konstytucji i autonomii, nie oznacza to wcale zwycięstwa ludów. Przeciwnie, oznacza przegraną ludów w każdej prowincji.

Otwarta została bowiem droga do porozumienia z rządem dla poniżonego a silnego ziemiaństwa. Dokonał się „zwrot ku koronie", tak na Węgrzech, jak w Galicji. Restauracja Austrii — koronnej, a nie demagogiczno-rewolucyjnej, restauracja wpływów wielkiej, herbowej własności. Powołany na namiestnika hr. Gołuchowski porównywany jest przez prasę z margrabią Wielopolskim (tym co chciał utrzymać chłopów w „wieczystej dzierżawie"). Cesarz dziękuje ludom za wierność dla pobitej Austrii. W odpowiedzi nowy, pański sejm galicyjski wysyła adres do tronu „Przy Tobie najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy".

Los Galilcji został przesądzony. Panuje ziemiaństwo. Rząd respektuje i broni jego interesów. A interesy te skazują Galicję na austriacką „pół-kolonię".

DWA GŁOSY Z PARYŻA

Listy Juliusza Słowackiego, pisane z Paryża w 1849 r. do krewnych ziemian z Galicji, (cytuje je Kott) warto skonfrontować z książką ks. W. Kalinki „Galicja i Kraków", ukończona w r. 1852, również w Paryżu.

Słowacki zachęca krewnych do przejścia z gospodarki pańszczyźnianej na najemną. Nie klucz wiosek z duszami — a kapitalistycznoobszarniczy folwark — oto nowy ideał.

„**Nie wrastaimy w grunt** jak dęby. ani chciejmy podobnej dębom trwałości..." Dlaczego w tych listach tyle żarliwego przekonywania? Czyżby były dopiero pierwszym łamaniem lodów? Otóż nie! Trafiają one na nową sytuację. Krewni z Galicji żyli podobną myślą już w latach 30—40-tych, kiedy przed Juliuszem nie stawało jeszcze pytanie — w jaki sposób krewni uzyskują dla niego regularną a przyzwoitą rentę.

Ale teraz jest r. 1849, tzn. czasy **niepewności.** Przeszła krwawa rewolucja chłopstwa, wiosna ludów, „ryczałtowe przez rząd darowanie pańszczyzny jest pogwałceniem praw dziedzica, jest rozporządzeniem się jego własnością". Na sejmie krajowym rząd posadzi chłopów w liczbie większej niż szlachecka. Słowem — przewrót!

Prawdą jest, że przez pierwsze 70 lat zaboru warstwą najsilniej bitą przez rząd austriacki była szlachta. Jeżeli sama uważała siebie za naród, to nie inaczej oceniał ją zaborca. Należało naród polski w jej osobie ugnieść, uzależnić, przystosować. Ciosy padają wcześnie. Już w r. 1787 „zakazano grunta poddańcze na dworskie bez pozwolenia cyrkułu przemieniać".

To był lepszy argument, niż zaklęcia Słowackiego w 60 lat później słane do krewnych. Ks. Kalinka stwierdza, że w rezultacie uwłaszczenie dało ziemię tylko 1/6 chłopom. Inna rzecz, że ziemi tej (z lasami i łąkami) w ręce włościan dostała się połowa obszaru Galicji.

Ale zakaz tym bardziej pobudził szlachtę do konszachtów z cyrkułami. Rząd obarczył ją poborem rekruta, sądownictwem, egzekwowaniem podatków od chłopów, stworzył zatem trwałe warunki do jątrzenia społecznego. Ale zaatakowana ekonomicznie szlachta przez rząd podjęła walkę właśnie na gruncie wewnętrzno-narodowym. Broniła się kosztem polskiego chłopstwa. Użyła i nadużyła narzuconej sobie władzy we własnym interesie.

Głos ks. Kalinki w połowie w. XIX jest głosem postępowego konserwatysty. Bystry to reformator, o otwartych na interesy ziemiaństwa oczach. Przemiany — oczywiście! W pierwszym rzędzie i dawno już powinna ulec przekształceniu pańszczyzna. Jakże mają 80 morgowy i 20 morgowy chłop mieć tę samą liczbę dniówek? Głos ekonomii przemawiał za reformą. Głos ekonomii szlacheckiej przemawiał za tworzeniem nowoczesnych z machinami folwarków, za rugami z ziemi chłopów w takim procencie, aby wielkość rynku sił najemnych zapewniła tanią robociznę. Książka ks. Kalinki jest gruntowną w materiale statystycznym, nie mogła być pisana w Paryżu ad hoc. Sumuje szlachecką ekonomię za całe pół-wiecze. Do zagospodarowania folwarków potrzeba rocznie 24 milionów dni roboczych, to będzie kosztowało 19 milionów zł. reńskich. Do tego kapitału inwestycyjnego chce się dojść „pomalutku", przecież większa część szlachty „żyła w miarę dochodów, a **może ponad miarę,** nie było więc podobna zaoszczędzić sumy tak ogromnej".

Rabacja galicyjska i r. 48 zaskoczyły ziemiaństwo. Pokrzyżowały rachuby. Nie w tym bowiem tkwił problem: znieść pańszczyznę czy nie znieść? Ale w tym, żeby ona nie dotknęła ekonomii szlacheckiej. A trzeba o tym pamiętać, że przemiany gospodarcze — utowarowienie, upienieżenie, wolny rynek pracy — same w sobie nie biły w ziemiaństwo. Przeciwnie, użyte dla jego interesów obiecywały mu podźwignięcie, rozkwit materialny, nową epokę. Dlatego w historiozofii ks. Kalinki szlachta ma szanse być teraz daleko więcej, niż przed tym **sama narodem polskim.** Dla „perły praw szlacheckich" kuje się nową solidną oprawę ekonomiczną.

I jeszcze 48 r. ziemiaństwo przeżywa w pół nadziejach. „Tonący i brzytwy się chwyta — pisze ks. Kalinka — szlachta galicyjska postawiona nad przepaścią, zmuszona była do tego szalonego heroizmu". To znaczy do uwłaszczenia. Ale ona chciała trzech rzeczy: „w spłacie należności oddawanej przez byłego poddanego znajdzie kapitał, który mu zastąpi pańszczyznę". W poczesnym rynku bezrolnych tanią siłę najemną, w rządzie austriackim kredyty na inwestycje folwarków z machinami.

Wszystkie trzy warunki już w r. 1849 okazały się nie do spełnienia.

Wtedy to właśnie nadchodzą do krewnych listy Słowackiego, głoszące pochwałę przewrotu cywilizacyjnego, jaki niósł kapitalizm. Krewni od lat w tym przewrocie brali udział, dopokąd pomyślnie służył on szlacheckiej ekonomii, dopokąd nie naruszał tradycyjnej pozycji stanowej.

Teraz nastąpił przewrót i krach. Chłopi nie płacą za ziemię. Rząd nie daje subwencji na inwestycje folwarków. 5/6 bezrolnych nie garnie się do najemnej pracy w folwarkach. Za 40 krajcarów nie można zmówić robotnika. Wolą podnajmować się na gruntach kmiecych. Ks. Kalinka odnajduje w spóźnionym terminie przyczyny. W latach 30 — 50 przepływały nielegalne książki, dzienniki i broszury z emigracji. „Nie widział ich cenzor, śledziła policja. W pakach tych obok arcytworów, przychodziły **śmiecie polityczne.** Jedne i drugie nazywano u nas książkami emigracyjnymi"

„Była to epoka straszliwej rewolucji moralnej. Ludzie ciemni prowadzili jednookich, ci, co głosili zasady, których sami nie rozumieli, opanowali tych, co rownie z nimi niedoświadczeni, mieli przynajmniej jedną zasadę, to jest polskiego szlachcica". Takim był Dembowski — „czerwony" — ale „kasztelanic".

Gorzej, że te fanaberie, czepiające się konarów drzewa genealogicznego, weszły w grunt i korzenie, z soków których ziemiaństwo żyło i chciało nadal żyć. Stało się bowiem iż chłopa „książką elementarną były procesa z dziedzicami i zabory nabyte fałszywymi zeznaniami, „jego nauczycielami byli urlopnicy, grencjegery, zapłaceni arendarze, urzędnicy, starostowie. jego szkołą była karczma i biura obwodowe".

Wszystko to prawda. Ale co ona wyraża? Z jednej strony uparte rozumowanie: Ziemia jest szlachecka, przekazanie jej części chłopu — tylko za zapłatą. Dlatego domawianie się ziemi z powoływaniami na rustykalne nadania gruntu za dziadów czy pradziadów — „fałszywym zeznaniem". Dawanie posłuchu urlopnikom i urzędnikom — „straszliwą rewolucją moralną". Z drugiej strony — chłopi przechodzą w doświadczeniu praw, dla nich korzystnych i objaśnieniach urzędników — elementarne uświadomienia klasowe: do ziemi mają prawo, płacić nie powinni, dać się złapać w najem, który obróci się w wyzysk i potęgę szlachty — również nie!

Ks. Kalinka mówi jeszcze językiem pierwszej połowy XIX wieku, pełnym zapału dla industrialnego postępu. Jednym z najobfitszych źródeł bogactwa Galicji mogłaby być produkcja i przędzenie lnu. Już się wyrabia rocznie do 2 mil. sztuk płótna.

A „gdyby przędzenie wzdłuż podnóża Karpat było ożywone maszynami i kapitałami... położyłoby tamę ogromnemu przywozowi angielskiego przędziwa lnianego do całej monarchij austryjackiej". Cóż to myślenie wyraża? Konkurencję z Austrią. Inwazję na Austro - Węgry. Wet za wet! Bo prawdą jest, że rząd utrudniał rozwój przemysłu w Galicji, ale właśnie nie potem, a w tym pierwszym półwieczu powstawał on tu siłą rozmachu mieszczaństwa i ziemiaństwa. Kalinka pisze z „poświęcenia obywatelskiego". I sam sobie zaprzecza. Powstawał jako dobry interes. I miał te same tendencje co przemysł austriacki - imperialistyczne. Walka narodowa musiała się rozegrać przede wszystkim na polu gospodarczym. Ziemiaństwo weszło na tę drogę nie zdając sobie sprawy z jej doniosłości Opanować Austrię własnym lnem... Naiwni chcieli jeszcze, żeby Austria dała kapitały zakładowe usłużnie działający aparat urzędniczy.

Nie dała i nie myślała dać, ale musiałaby się ugiąć i uzależnić od przemysłu galicyjskiego, gdyby ten rósł świadomy społecznego i narodowego znaczenia. Nie osiągnęła tej pozycji Galicja, ale osiągnęły ją Czechy.

A przecież pod te lata (1843 r.) wartość produkcji wielkiego przemysłu w Galicji wynosiła 40,4 mil. zł. tj. 10,5 proc. ogólnej austriackiej produkcji, podczas, kiedy dochód z folwarków sięgał 7 mil. zł. r.

Według wyliczeń Bujaka („Rozwój gospod. Galicji" Lwów 1917 r.) było w Galicji 40 hut żelaza (już w r. 1822), zatrudniających 30.000 robót. Surowiec sprowadzano z Węgier. Prze-

*) Część I: „Mit parceli", „Wieś" nr 17 (96).

Bronisław Kamiński

Na emigracji

Zmienne miałem losy. Pierwsze lata życia spędziłem na wsi pod Krakowem i w Krakowie. Pociąg i zamiłowanie do poezji pojawiło się u mnie wcześnie, bo już w szkole powszechnej. Mając lat czternaście zostałem sam na świecie i musiałem pokierować swoim życiem. Przez krótki czas obracałem się w towarzystwie włóczykijów, jeżdżąc na gapę pociągiem i żyjąc ze sprzedawanych gazet i kantu. Po krótkim okresie tych burzliwych przygód stałem się pomocnikiem stolarskim, potem praktykowałem u malarza pokojowego, aż wkońcu dostałem pracę w fabryce czekolady.

Był to czas, w którym zacząłem się gwałtownie rozczytywać w literaturze. Pochłaniałem Platona, Oskara Wilde'a, Goethego i inn. Rozczytywanie się w literaturze za poważnej zdawałoby się jak na moje wykształcenie, zwróciło uwagę dalekich krewnych, którzy postanowili umożliwić mi kształcenie. Za sprawą wspominanej przeze mnie z wdzięcznością ciotki, udało mi się uzyskać świadectwo maturalne. Otwarła się droga do przyszłości.

W roku 1937 na uniwersytecie krakowskim miał miejsce „Turniej Poetycki", na którym otrzymałem za kiepskie wiersze pierwszą nagrodę. To był mój pierwszy publiczny krok literacki. W owym czasie nie rozumiałem jeszcze poezji awangardowej i przechodziłem nad nią do porządku dziennego, jak nad rebusami. Pewnego razu wpadło mi w ręce parę książek poetyckich Juliana Przybosia. Nie rozumiałem ich dobrze, ale mimo to wciągnęły mnie w swój rytm i wywołały wzruszenie. Wtedy zniszczyłem wszystkie dotychczasowe utwory i zacząłem naprawdę pisać.

Dzisiaj jestem daleki od uwielbiania Przybosia i raczej zajmuję stanowisko opozycyjne w stosunku do jego sztuki, uważając, że jest to powierzchowne reagowanie na zjawiska, pozbawione prawdziwie poetyckiego stanowiska, opierającego się na formie wewnętrznej, czyli na problemacie. Mimo to chcę tu oddać jego poezji należne jej uznanie, bowiem ona była dla mnie pierwszym drogowskazem na drodze poetyckiej.

W roku 1938 po wydaniu zbiorku poezji p. t. „Pieśni barbarzyńcy", przeniosłem się z Krakowa do Warszawy. Wojna zastała mnie w Gdyni, gdzie 14 września 1939 roku zostałem przez Niemców aresztowany.

Od tego czasu zaczyna się podróż po całym szeregu obozów koncentracyjnych, aby wkońcu przybyć na pięcioletni pobyt do Gusen koło Mauthausen. Każdy Polak zapewne wie, co to był za obóz koncentracyjny, a więc nie miejsce tu na detale. Mimo to właśnie w tym miejscu zaczyna się dla czytelnika ciekawsza część mojego życiorysu, tu bowiem zaczyna się problem.

Ktoś kiedyś powiedział, że pewni ludzie rodzą się z predestynacjami na socjalistów, inni znowu na nacjonalistów. Otóż mam wrażenie, że ja właśnie urodziłem się pod znakiem socjalizmu. Zawsze miałem skłonność do myślenia humanitarnego i międzynarodowego. Miałem szczęście, iż w życiu spotykałem ludzi przeważnie podobnych mi światopoglądowo. Skutkiem tych kontaktów towarzyskich było parokrotne aresztowanie i odmowa stypendium rządowego. W obozie, gdzie wymierające społeczeństwo było zbiorowiskiem różnonarodowym i gdzie właśnie w imię nacjonalizmu niszczono narody, powstało we mnie poprostu żywiołowe pragnienie i poczucie kosmopolityzmu.

To poczucie doprowadziło mnie do konfliktu z otoczeniem innych Polaków, którzy niestety przeważnie odznaczali się skrajnym szowinizmem. Ślepy, nienawistny antysemityzm, sny o polskim imperializmie, o jakiejś potędze od morza do morza, to były cele tęsknot wielu moich towarzyszy. Te różnice światopoglądowe doprowadziły do konfliktu uczuciowego między mną, a większością towarzyszy.

Było nas tylko kilku wśród paru tysięcy którzy śledziliśmy wojnę na wschodzie i z tamtąd czekaliśmy wybawienia. Po bitwie pod Stalingradem liczba nasza nieco wzrosła. Ale fakt, że było nas tylko niewielu oddziaływał na mnie deprymująco. Zacząłem rzeczywistością obozową mierzyć cały naród, i już w 1943 roku postanowiłem bez względu na reżim nie wracać do kraju. Oderwany od normalnego życia błądziłem fantazją w przyszłości i zdawało mi się, że będę mógł żyć zdala od ojczyzny i stać się po prostu człowiekiem bez narodu. Te moje myśli częstokroć powtarzałem w przyjacielskich rozmowach Grzegorzowi Timofiejewowi, który był moim obozowym przyjacielem.

Kiedy więc przyszli Amerykanie, miast kroki skierować na wschód, dokąd powinna mnie ciągnąć sympatia polityczna i Polska, udałem się do Francji. Początkowo nie chciałem ze środowiskiem polskim mieć żadnej styczności, lecz gdy powoli wydobywałem się z wyczerpania fizycznego i nerwowego, zacząłem nawiązywać kontakty z tutejszą Polonią. Trzeba było prawdziwej emigracji, abym zrozumiał, że los mnie nierozerwalnie połączył z Polską i polskim narodem. Mimo, iż przed tym przyrzekałem sobie, że nie będę więcej pisał, musiałem powrócić do tego, co stanowiło i stanowi sens mojego życia: zacząłem na nowo pisać.

Człowiek w dzisiejszym układzie świata jest przywiązany do ojczyzny jak drzewo do korzenia. Codziennym chlebem emigranta jest tęsknota i wspomnienia. Drogowskaz stojący na skrzyżowaniu dróg mojego życia wskazuje Polskę. Chwała, iż ojczyzna nasza nie będzie więcej wysyłała synów swoich na nędzarską zaiste drogę wychodźtwa.

Paryż, w kwietniu 47 r.

mysł włókienniczy należał do najbardziej rozwiniętych gałęzi. W r. 1841 produkcja wynosiła 800.000 sztuk, wartości 4 mil. zł. Mechaniczne przędzalnie i tkalnie rozsypane były również na wschodzie. Była taka i w Brodach, dokąd słał listy Słowacki. Fabryki sukna w Żółkwi, Zaołżcach, w tych stronach 12 papierni, 18 małych cukrowni, 11 większych garbarni, browarów 430, gorzelni 2.431. W r. 1839 liczba większych przemysłowców wynosiła 1.374, majstrów przeszło 29.000; w r. 1853 było już przedsiębiorstw przemysłowych 45.835.

Ks. Kalinka porównuje przemysł Galicji z przemysłem w Kongresówce. Tam robotników i rzemieślników około 130 tysięcy, tu — około 55 tysięcy. „I nie może też być inaczej, w Królestwie Polskim przemysł jest środkiem zysku, w Galicji jest drogą poświęcenia obywatelskiego!"

Dla kogóż to środkiem zysku był przeszło dwa razy większy przemysł w Kongresówce? Dla obcych akcjonariuszy, fabrykantów, inżynierów i majstrów. Powtarzam—dla obcych. Dla kogo to — „drogą poświęcenia obywatelskiego" w Galicji? Dla ziemiaństwa, które z folwarków miało rocznie kilka milionów zł., a z przemysłu — kilkadziesiąt.

PRUS I KS. KALINKA

Książka ks. Kalinki prosi się o porównanie z „Lalką" Prusa, choć nie jest powieścią. Obie podsumowują „bohaterską" epokę ziemiaństwa i mieszczaństwa Obie stają przed nowym zagadnieniem: ziemi i ludu.

Nie bez przyczyny jednak pełny obraz społeczeństwa u jednego jest odmalowany językiem — powieści, u drugiego językiem — ekonomii.

Jeszcze pół wieku przyjdzie poczekać, nim L. Krzywicki prowadzi w badania historyczne metodę statystyczną nim analiza procesów ekonomicznych obnaży" „Ducha dziejów". Ale Krzywicki wiązał się z klasą robotniczą. Dotknął w ten sposób procesu produkcji. Prus jest przedstawicielem mieszczaństwa Kogresówki z okresu jego ożywienia się pod wpływem wzmożonego rozrostu przemysłu, ale ożywienia poza obrębem przemysłu. Przez chwilę (przez 30 lat) mieszczaństwo i ziemiaństwo robiło interesy handlowe, aż póki obcy dysponent przemysłu w Królestwie nie wessał detalicznego pośrednictwa w wielkie źródła kapitału finansowego, w banki-matki, i póki upartych śmiałków nie postawił wobec swoich ekspozytur, banków-„córek" i „wnuczek".

Ks Kalinka pisze w imieniu ziemiaństwa. Pisze językiem ekonomii. Wnikliwie szczegółowo i porównawczo — sięgając do produkcji Królestwa, do produkcji Austrii. Dla Prusa przemysł był niewidzialny w Królestwie. Dla Kalinki widzialny w detalach nawet i w Królestwie. Ks Kalinka sam sobie nie zdawał sprawy, że wyraża epokę kapitalistyczno - przemysłowego zaawanturowania się galicyjskiego ziemiaństwa. „Bohaterska" była ta epoka nie przez „poświęcenie się obywatelskie", ale przez **produkcyjne wyniki** polskiego ziemiaństwa i mieszczaństwa. Ale jest to równocześnie epoka niezałatwionej sprawy włościańskiej. Skok ziemiaństwa w produkcję przemysłową **nie naruszył stanowych różnic społecznych i ekonomicznych.** Przeciwnie, wymagał ich utrwalenia. Były to złe obliczenia. Ruch przemysłowy ożywił handel. Jest to wczesna faza borowania długich odnóg w głęboką wieś dla detalicznego skupu i wymiany. Najruchliwszym, najbardziej nie liczącym sobie wkładu pracy i czasu okazał się element żydowski. Ks. Kalinka ma do niego nie tylko religijną awersję. Jego książka jest już podsumowaniem historycznym i ukazuje handiarzy żydowskich, jak obchodzą w swoich okręgach kilkakrotnie w roku wszystkie wsie i chaty i jak na przełomie, w r. 1850 stają się już dla folwarków okrojonych i zdanych na płatną służbę, głównym źródłem kredytu, przy 30—40 proc. stopie. Ziemiaństwo nie przewidziało historycznego uwłaszczenia. To znaczy, nie wliczyło na swoje konto obciążeń na rzecz warstwy chłopskiej. Nie zgromadziło kapitału kredytowego, licząc na rezerwy pieniężne z wykupu ziemi przez chłopów, oraz, wbrew logice rzeczy, na „przysługujace jej" subwencje rządowe. Nie przewidziało, że nienawiść chłopów dojrzeje do świadomego bojkotu pracy folwarcznej, że zatem zamiast taniego i obfitego robotnika, folwarki staną wobec braku sił najemnych i wysokich płac.

PRZEŁOM

Książka ks. Kalinki jest obrachunkiem wielkich przegranych ziemiaństwa, choć obrachunek przybrał formę oskarżeń. Oskarżony został rząd austriacki: przez całych 70 lat buntował chłopów przeciw szlachcie. „Włościanin polski z natury dobry jest, byle go nie odrywano od jego głowy, to jest dziedzica, od jego serca, to jest plebana". Gdyby go nie oderwano szlachta miałaby dziś, conajmniej dwa razy więcej ziemi ornej, chętnego robotnika i płacących za grunt. W ostatnim punkcie rozumowanie było fałszywe. Już w pierwszej połowie XIX wieku Galicja cierpiała na niedobór zboża. Chłopi na rustykalnych gruntach nie używali nawozu, nie znali płodozmianu, wartości koniczyny, celowej hodowli, jedyne narzędzie to ciężki pług drewniany i zła brona. Na miejskich majątkach zaczynała się dopiero nowoczesna uprawa. „Szedł pług **żelazny** angielski za cenę 40 złr. (20 zł. r. — równa się — roczna zasługa folwarcznego) ciągniony końmi angielskimi z oraczem Anglikiem, orał wybornie i niewiedzieć co więcej podziwiać należało, czy spokojność koni, doskonałość narzędzia, czy wreszcie prowadzenie pługa" („Rocznik towarzystwa Agronomicznego" r. 1851).

Ta europeizacja folwarków oznaczała dwie rzeczy — pańską, arcykosztowną modernizację i — odcięcie wsi od jej wpływu na długi okres. W szlacheckim programie uwłaszczenie równało się spłacie, która zastąpi pańszczyznę: „z ustaniem stosunku pańszczyźnianego zaczyna się gospodarstwo pieniężne". A z czego i jak mieli dać pieniądze włościanie?

Pod oskarżeniem rządu za okres 70 lat kryje się przyznanie do ostatniej, definitywnej przegranej takiego dworu, który chciał się stać folwarkiem nowoczesnym przez dziedziczenie w zmienionej formie feudalnych atrybutów.

Oskarżony został rząd o stałe hamowanie i niszczenie incjatywy przemysłowej w Galicji. „Każdy jej krok musi być uważany za rodzaj buntu w oczach rządu, który tę piękną ziemię na targ fabrykantów, na kolonię austrjackich prowincyj zamienił". Jeszcze to nie było prawdą. W r. 1839 liczba większych przedsiębiorstw wynosiła 1374, w r. 1853 we wszystkich kategoriach doszła do sumy 45.885. Prawdą było natomiast co innego. To ziemiaństwo ogłaszało ustąpienie z pola walki przemysłowej. Dotąd potykało się ono zwycięsko ale niesłychanie kosztownie. Przy braku wiedzy fachowej i przedsiębiorstw zawodowych, z wielkopańską nieostrożnością i lekkomyślnością w kalkulacji i inwestycjach, które szły najczęściej w gałęzie przemysłu spożywczego i artystycznego z zaniedbaniem podbudowania wielkoprzemysłowych.

„Nie wrastajmy w grunt jak dęby" — pisał Słowacki w r. 1849. I nie przekonał. List jego trafił na moment krytyczny. Zostawia ziemię a pchać się dalej w przemysł, czy wycofać się z tego hazardu?

Za szlachecki przemysł pierwszego półwiecza płacił pańszczyźniany chłop. W nim była rezerwa na hazard. W tych warunkach i dyletantom udawał się interes. Ale teraz? Folwark i mechaniczna przędzalnia? Co teraz? Ziemi się trzymać, czy przedzierżgnąć w fachowca przemysłowo-kupieckiego? Czy nie ustępować z jednego i drugiego?

Oskarżeni zostali żydzi — za wszystko: za Jehowę, kabałę, koszerne, handel i lichwę. Ale naprawdę i w tym oskarżeniu szło o stworzenie jeszcze jednego mitu o podłym a zwycięskim wrogu. W r. 1840 z 2430 gorzelni szlacheckich wychodziło milion hl. wódki, którą arendarze rozpijali chłopów. Była spółka. Pański pieniądz potoczył się, a żydowski skupił w szczupły coprawda kapitał kredytowy, ale kiedy teraz po uwłaszczeniu wszyscy dziedzice zażądali od kapitalistów gotówki, a kapitalistów w Galicji było mało... zrozumiał ks. Kalinka nową przegraną ziemiaństwa: brak rezerw w kapitale płynnym, brak banków, towarzystw kredytowych.

Folwark i mechaniczna przędzalnia? Tu i tam trzeba kapitału. A kapitału nie mamy...

U końca „Lalki" staje Prus w obliczu nowych wartości: Boga, ziemi i ludu. Po 30 latach od czasu zniesienia pańszczyzny w Kongresówce, po zawiedzionych podbojach przemysłowo-handlowych mieszczaństwa i ziemiaństwa. Jeszcze tylko w Bogu nadzieja, została ziemia i odrodzenie w ludzie. Prus otwierał tę perspektywę. Wierzył w nią szczerze Witkiewicz, może Popławski, Pawlikowski... Naprawdę otwierał się los półkolonii. Mówiłem już o tym szerzej.

Książka ks. Kalinki z innego tonu uderza w tę samą sprawę. Tu się **niczego nie pozoruje.** Jest stan wojny społecznej. Uwłaszczeni bojkotują folwarki, choć 5/6 z nich **stanowią** bezrolni, Konstytucja galicyjska oddawała los prowincji i moc stanowienia praw im, tz. „ludziom, którzy dowiedli, iż nie znają nic wyższego nad zysk materialny i nic tak szanownego, coby dla tego zysku poświęcić się godziło". Szlalchto polska — „pomoc jedyna, tarcza i pociecha jest w tobie samej"! Brak nam robotnika, brak kapitałów, zadłużamy się. Ale „chłop galicyjski **był zawsze** i jest ubogim, bo choć **siła materialna** i dekreta cyrkułowe przyznawały mu coraz to nowe posiadłości dworskie, ziemia do której pracy nie przyłożył, leży w jego rękach martwo. Nie czuł prawdy tego wielkiego pewnika, że krzywda ludzka nie bogaci"

Oto jedyne pole, na którym ziemiaństwo stanowczo nie chce dać za wygraną i walki zaprzestać. W oskarżeniu chłopstwa nie ma przesłaniania własnej niemocy.

Właśnie tu są szanse wygrania, tzn przywrócenia „perły praw szacheckich", feudalnego stanu równowagi społecznej. Ziemiaństwo szykuje się do mierzenia na przyszłość swojej pozycji jedynym kryterium — **różnicą między dworem a wsią.** Wyłącza się w ten sposób z kapitalistyczno - przemysłowych dziejów Europy i postępowych prądów społecznych.

Nie będzie go tam „gdzie był usankcjonowany system spiskowania nieustannego z ciemnymi masami przeciw zdrowym żywiołom społeczeństwa, gdzie biurokracja zamieniła się w narzędzie komunizmu".

Zgoda. Znaczy to, że ziemiaństwo walczyć będzie z rządem austriackim **nie za wolność** narodu, ale przeciw spiskom z **ciemnymi masami**, przeciw demagogicznej **rewolucji**, „która utrwala" proces ciągłej fermentacji i ciągłego rozkładu społecznego".

W roku 1864 Prusy pobiją Danię, w **1870** powalą Francję, a wcześniej jeszcze w **1866** — Austrię. Odtąd Monarchia znajdzie się w zasięgu politycznego i ekonomicznego oddziaływania Niemiec. Eksploatowanej pozostanie **eksploatacja własnych prowincji.**

I tak się zbiegną — konieczności Austrii z usiłowaniem galicyjskiego ziemiaństwa „ku zamknięciu tej epoki anti-socjalnej, którą rząd otworzył i szedł nią od roku 1772". Przegrana Austrii w wojnie z kapitalistycznymi Niemcami, to podniesienie w monarchii głowy przez klasy posiadające.

Odtąd tron opiera się na wielkiej własności ziemskiej i przemysłowej. Dla przemysłu koronnego prowincje rolnicze mają być zachowane w roli wyłącznie rynków zbytu, dla wielkiej własności zagwarantowane zostają wysokie cła ochronne na ziemiopłody.

Dla Galicji znaczyło to — **zastój w przemyśle i drogie zboże... dla drobnorolnych,** głównego konsumenta raczej, niż producenta zboża.

W porównaniu z wsią dwór błyszczał, jak dawna „perła praw szlacheckich".

„Nie wrastajmy w grunt jak dęby" — pisał Słowacki w 1849 roku. Stało się inaczej. Jak strasznie inaczej, przekonajmy się, oglądając Galicję w ostatnich dziesięcioleciach w. XIX.

c. d. n.

Jan Aleksander Król

Bronisław Marcinek

R E W I Z J A

(ze wspomnień chłopa-samouka)

— Oj, synu! — nieraz ci mówiłam rzuć te książki i gazety, bo to nie chłopu się uczyć, a tyś nie słuchał!...

— Co mamie do głowy przyszło, co te książki, lub gazety mamie zrobiły — zapytałem ze zdziwieniem.

— Synu! — policja była, robiła rewizję, wzięła parę książek, a tobie kazali jutro zgłosić się na posterunek.

No i o to mama tak się zmartwiła? — zapytałem, śmiejąc się, bo bagatelizując sprawę — chciałem matkę pocieszyć, co mi się udało, bo wiedziałem, że z radością w oczach na mnie spojrzała.

— I ty mówisz, że nic ci za to nie zrobią? — spytała matka spokojniej.

— Ależ napewno! A jakie książki zabrali — spytałem.

— Ja tam się na nich nie rozumiem, ale Kasia napewno wie... Kasiu, jakie zabrali książki, czy wiesz? — spytała matka moją siostrę.

— Wiem, jedna p.t. „Wielka Rewolucja Francuska" a drugą „Szkolnictwo w Rosji Sowieckiej".

— Ach, żeby ci choć za te książki nic nie było!...

— Mnie nic nie będzie i książki muszą zwrócić, bo jeżeli cenzura zezwala, to można je czytać, a nie wiem dlaczego ta „glina" się przyczepia?! Ja wiem że oni patrzą niedobrym okiem na chłopa, który się uczył, a gdy się dowiedzą, że czyta książki ekonomiczne — to ich mało szlak nie trafi!... Dlaczego przychodzą do chłopa, który ma kilkadziesiąt książek i szukają, czy chłop nie ma jakich politycznych dzieł, a dlaczego oni nie pójdą do hrabiego, lub jakiego innego pana, którzy mają tysiące książek i nie zrobią tam rewizji?!

— Synu, bo panom wolno się uczyć a chłopom nie wolno — tak było i tak jest — rzekła matka z westchnieniem.

Na te słowa matki nie odpowiedziałem nic — usiadłem przy stole, podparłem głowę na dłoni — myślałem, czy doczekam się czasu, że chłopu, który ma zamiłowanie do wiedzy, który pragnie się uczyć — nie będą przeszkadzać?! Przecież ja nikomu tym nie szkodzę, że się uczę, uczę się sam, bo nikt mi nic a nic nie pomaga, — jedynie pomaga mi ta książka, która jest dla mnie, dla biednego samouka, prawdziwym przyjacielem i nauczycielem.

* * *

Na drugi dzień rano, a było to w niedzielę, ogoliłem się, ubrałem i poszedłem na posterunek do Hańska odległego o 2 km.

Hańsk jest to wioska, w której było kilka sklepów spożywczych, jedna restauracja, piwiarnia, urząd gminny, urząd pocztowy, posterunek policji, i kościół, do którego ludzie zewsząd śpieszyli na msze św. Z tych względów na gościńcu obok kościoła i budynku gminnego kręciło się dużo ludzi. Kościelny uderzył w dzwon, wzywając wiernych na modlitwę — głos dzwonu mnie upewnił, że się trochę spóźniłem, więc nie zatrzymując się, pośpieszyłem na posterunek, który był na drugim końcu wsi.

Nareszcie i posterunek, zapukałem do drzwi: — „Wejść!" — usłyszałem. Wszedłem. Przy biurku siedział posterunkowy Wasilewski, który zastępował komendanta, znajdującego się na urlopie.

— Dzień dobry! — rzekłem wchodząc.

—Dzień dobry! Co powiecie? — zapytał z uśmieszkiem na twarzy.

— Nie wiem co panowie chcecie ode mnie, boście mi kazali się zgłosić. —

— Aha! — to wy jesteście Marcinek z Lecia? — zagadnął, patrząc na leżące obok książki, które mi zostały zabrane.

— Tak jest! — odrzekłem.

— Źle jest z wami — zaczynacie się bawić w politykę, czytacie książki, których czytać nie powinniście, jak widać interesuje was komuna a to może się skończyć dla was złem! — rzekł patrząc mi badawczo w oczy.

— Interesuje mnie to, co jest nauką, a ze względu, że te książki są naukowe, więc je studiuję..., w politykę się nie bawię, panie komendancie.

— Ależ to jest nie dozwolone czytać takie książki — rzekł, twierdząco.

— Panie komendancie — o ile cenzura zezwala, więc jest dozwolone, bo pocóż dozwalają drukować, czy poto, by potym znowu zabraniać czytać?

— Patrzcie! — rzekł wskazując mi zdania, które podkreśliłem czerwonym ołówkiem w książce: — tu wyraźnie pisze o komuniźmie, o walkach komuny, więc czy można zezwolić na to, ażeby na wsi takie książki czytali?

— Napewno można, gdy cenzura zezwala, a cóż wy panowie macie przeciw temu, gdy rząd jest za tym — spytałem dalej: diabeł mówią, że jest straszny, ale i w świętej biblii pisze o diable, więc czy biblii też nie można czytać? Zaznaczam, że czytam książki cenzurą dozwolone, książki treści naukowej, a napewno mi jest wolno uczyć się? — zakończyłem pytaniem. —

— Powiedzcie mi — po co wy się uczycie, czy spodziewacie się czegoś w przyszłości... — rzekł badawczo patrząc na mnie.

— Dziwne to pytanie — panie komendancie i dziwi mnie, że pan nie wie „po co człowiek się uczy"..., ale postaram się wyjaśnić... Gdyby pana kto spytał dlaczego pan chce się z jakąś kobietą ożenić, to pan by napewno bez namysłu odpowiedział — dlatego chcę się z nią ożenić bo ją kocham.

— Podobnie ja panu odpowiem — dlatego się uczę, bo jestem miłośnikiem wiedzy, inaczej odpowiedzieć nie umiem.

— Co ta wiedza wam da? — przecież uczycie się jako samouk, nie posiadacie dyplomu, a więc z tego względu posady nie otrzymacie, więc się pytam, co ona wam da?!

— Da mi zadowolenie, bo na co spojrzę — będę wiedział dlaczego tak się dzieje a nie inaczej, wszelkie zjawiska nie będą dla mnie tajemnicą, nie będę zabobonnym — będę wiedział to, czego inni nie wiedzą, słyszał to, czego inni nie słyszą, czuł tego czego inni nie czują, rozumiał to, czego ini nie rozumieją — oto odpowiedź, co wiedza da!...

— No macie książki i idźcie do domu — rzekł zastępca komendanta, Wasilewski, ale uważajcie, żebyście nie nauczyli się za dużo, bo zostaniecie profesorem uniwersytetu za kratami...

Józef Morton ilustr. St. Cieloch

BUTKI

SPRZEDAŻ pożydowskich rzeczy miała się zacząć popołudniu. Ponieważ nie było ustalonej godziny, ludziska zaczęli się schodzić od samego południa. Najpierw przyleciała Agata z pagórka. Wiadoma rzecz. Tej zawsze wszystkiego brak. I butów, i pierzyny, nawet łóżka nie posiadała jak się należy, bo co o ubranich, to i szkoda wspominać. Chodziła w samych łatach jak i jej chłopak, dwunastoletni znajda. Lecz z jedzeniem to zawsze sobie jakoś radzili. Twarde ręce Agaty i chybkie jej nogi zapewniały im to.

Za nią przywlókł się o kiju stary Ignac, parumorgowiec, który coprawda nie mógł się niczym takim wykazać, ale przecież powodziło mu się o wiele lepiej, aniżeli Agacie. Gorzej zato było u niego z ubraniem. Butów to tam nie potrzebował tak bardzo, ale łachy jakie to by kupił. A że pożydowskie? To nic! Łachy żydowskie — nieżydowskie, grzeją jednakowo, byle tylko były tanie i całe. Więc i przyszedł. Zobaczywszy Agatę, uśmiechnął się do niej na powitanie.

— Toś i ty tutaj?

— Jak widzicie. Myślicie, że tylko wy, morgowce, możecie kupować tanio, a mnie już nie wolno?

W głosie tym stary Ignac wyczuł wrogość i zamilkł. — Głupia Agata! Zazdrośnica sama chciałaby wszystko pożreć! Pomyślał tylko i zaczął oglądać pożydowski dom. Był zamknięty. Okna małe były zabite deskami. Stary Ignac zbliżył się do jednego z nich i naraz zobaczył, że deski na oknie ledwo wisiały, od dołu oderwane. Mruknął do siebie wcale niezadowolony:

— To już tutaj przed nami ktoś dobrze pruciał. Napewno powykradali co lepsze graty.

Za Ignacem nadciągnął Piotr od rzeki, też nie biedak, potem jeszcze troje ludzi, wreszcie ze wszystkich stron nadchodzili chętni nabycia czegoś. Nie przychodzili tutaj po niczyją łaskę. Mają kupować inni, to lepiej niech kupią oni, biedaki, morgowi, a nawet i z tych grubszych. Majątek po wywiezionych w nieznane żydach, niczym miód — osy, ściągał ich wszystkich. Każdy z nich chował w sercu nadzieję, że nie kto inny, ale właśnie on będzie szczęśliwie obdarowanym przez los. A majątku do obdarowywania przybyłych było sporo. Tak się przynajmniej wydawało na oko. Na sprzedaż wystawione były cztery domy. Jeszcze tydzień temu mieszkali w nich żydzi, po pięć, sześć rodzin w jednym. Jaki majątek pozostawili po sobie, tego każdy mógł się tylko domyślać. Nikt jednak nie wątpił w to, że mały on nie jest.



Zebrani z głośnym pomrukiem i przekpinkami dreptali z miejsca na miejsce po dużym podwórzu, oczekując przybycia Niemca i naczelniczki z poczty. Niby to służyła ona na poczcie, ale diabli wiedzą kim była i co właściwie robiła. Co do tego niejeden miał dużo wątpliwości, bo często widziano ją, jak z niemcami popijała i jadła, a jak chodziły słuchy, to i sypiała. Cóż, kobieta od granicy niemieckiej, podobno wysiedlona, po niemiecku szwargotała jak prawdziwa niemka, to i nie dziwota. Jako tłumaczka często oddawała przysługę chłopom, bywało, że kogoś uratowała nawet z kłopotów, ale przeważnie wyłudzała tylko pieniądze na pisanie różnych podań, bezskutecznych.

Wreszcie nadeszli i oni. Niemiec był młody, może jaki trzydziestoletni mężczyzna, blondyn z niebieskimi oczami, w których bez przerwy tlił się blady uśmiech, obiecujący niejednemu dobroć, łaskawość. Pani naczelniczka liczyła sobie bitą czterdziestkę. Koło oczu miała całe sito zmarszczek, tak samo pokryte były mało widocznymi fałdzikami kąty ust. Z szyi zwisał jej duży, gruby sznur pereł fałszywych, na palcach złociły się i błyszczały pierścienie.

Niemiec przechodząc przez wąski strumień, który oblewał z jednej strony dom pożydowski, z układnym gestem wyciągnął do pani naczelniczki rękę.

— Ach, danke schön — powiedziała z wdziękiem roztapiając się w uśmiechu. Przeszła sama i niebawem stróż gminny rozwarł drzwi, prowadzące do dobrobytu, na który czekała masa chłopstwa.

Najpierw wyciągnięto stół. Ale tego nie sprzedawano na razie. Był potrzebny dla niemca. Zasiadł więc przy nim, po drugiej stronie usadowiła się wygodnie naczelniczka.

Agata, widząc, jak stróż gminny morduje się z przeciąganiem przez drzwi szafy, w pierwszej chwili postanowiła ją kupić. Ale raptem przypomniała sobie, że w takiej szafie może być ukryty żyd, jak gdzieś tam już miał miejsce podobny wypadek — i zamknięta szafa z całym swoim niewidocznym wnętrzem stała się własnością Piotra. Kupił ją za psie grosze. 20 złotych.

Piotr, przysadzisty, pękaty, podparł się pod zdobycz, zarzucił ją na plecy i szerokim, chłopskim krokiem począł przedostawać się przez tłum. Ale nie szedł daleko. W pewnej odległości postawił ją, pogłaskał z zadowoleniem, przyglądając się jednocześnie z jakiego jest drzewa. Poczem swojemu chłopakowi przykazał jej pilnować i zawrócił. Jak raz szło na sprzedaż łóżko.

— To dla mnie — poderwała się Agata, ale w tej samej chwili cofnęła się. Nie miała tyle pieniędzy. Z żałości aże zamedytowała. Tak by się jej przydało to łóżko! Do niego jakby tak dokupiła pierzynę, dopiero-by wiedziała, że żyje. Tymczasem ani łóżko, ani pierzyna jej się nie dostały. Jedno ucieszyło jakiegoś biedaka z nad rzeki, drugie naczelniczka odłożyła sobie na bok. Przed tym oczywiście obejrzała ją całą uważnie, oszacowała w myślach należycie i rzekła trochę pośpiesznie, z lekkim uśmiechem w stronę niemca:

— Ta pierzyna będzie dla mnie. Po nocach mi zimno, nie mam się czym przykrywać...

— Za pierzynę pięć złotych — uroczyście wypowiedział niemiec i jakoś dziwnie zamigotały mu oczy. Kupiła ją pani naczelniczka.

— Danke schön. Z takim samym czarującym uśmiechem zwróciła się do niego pani naczelniczka, jak przedtym, przy strumieniu.

Stróż gminny, człek chorowity, zmachał się już setnie wywlekaniem pożydowskich rzeczy. Ludzie rozdrapali już prawie wszystko. Stół, łóżko, krzesła, pierzynę, poduszki, rondle, pozostały tylko jeszcze same drobiazgi i trochę ubrania. A wszystko szło prawie darmo. Żaden przedmiot nie kosztował drożej jak sto złotych. Dlaczego tak darmo? — Nie rozumiał, zresztą nie obchodziło go to. Pełnił swoją powinność i wściekał się, że nie może korzystać z takiej nadzwyczajnej okazji sprawienia sobie jakiegoś potrzebnego sprzętu do domu.

— Tak tanio, tak tanio! — pomrukiwał do siebie i dreptał w kółko, mordując się jak za karę. Czy wytrzyma do końca?

Oczy niemca, tak łagodnie uśmiechnięte i zapatrzone w naczelniczkę, dobrze jednak spozierały dookoła, to też biednemu stróżowi nie udało się nawet nic ukraść. A pani naczelniczka, otrzymując jakiś nowy przedmiot, donośnym głosem podawała najpierw cenę, poczym zwracała się do tłumu.

— Komu to jest potrzebny? A może kto da więcej? Może będziemy licytować?

Zazwyczaj tak się wszystko układało, że ponad ustaloną cenę nikt nie wybiegał. I pierwszy zgłaszający się nabywał pożądany towar.

Lecz ani stary Ignac, ani też Agata nie mieli jakoś szczęścia.

Ignacemu nic się nie podobało z rzeczy wystawianych na sprzedaż. Ubrania były jakieś nie chłopskie, i absolutnie nie nadawały się do przeróbki. Co można zrobić na przykład z kapoty, w jakiej modlili się żydzi? To też nie popatrzył nawet jak zabierał ją Piotr. Przyda mu się nakrywać konia, dla niego nie miałaby żadnego zastosowania, jak i inne szmaty, które wynoszono. A tak się spodziewał, że znajdzie dla siebie coś odpowiedniego — i masz!

Agata znów na wszystko była za biedna. Ceny, jakie podawano, były śmiesznie nikłe, ale nie dla niej. Całego majątku posiadała tylko dwadzieścia złotych. I za te dwadzieścia złotych pragnęła kupić coś naprawdę cennego, co by miało dla niej wielką wartość. Lecz co? Pierzyna za pięć złotych poszła dla naczelniczki, łóżko kosztowało już pięćdziesiąt złotych, a kiedy zaczęto wydostawać ubrania, wlot porywali je bliżej stojący. Nie mogła się do nich dostać. Wielkie szczęście, że to dopiero jeden dom kończyli wysprzedawać. Pozostały jeszcze trzy. Przy tamtych napewno nie pozwoli się zepchnąć do tyłu. Będzie pierwsza!

Wtem ktoś pociągnął ją za rękę. Spojrzała w dół i złość ją porwała.

— Po coś przyszedł? Żebyś mi zachorował?

— Nie zachoruje, mama. Nie wyganiajcie mnie. — Może dwunastoletni smyk tulił się do niej i cały uśmiechał, żebrząc jak o łaskę, o prawo pozostawania tutaj, między ludźmi. Na jednej nodze miał duży, potargany kapeć, drugą okręcił sobie szmatami i tak przybiegł. Przez dziury w kapciu lało się trochę wody, to też chłopiec drżał z zimna, ale był szczęśliwy. Nareszcie wydostał się z izby, chłodnej i mrocznej.

— Nie wygonicie mnie?

— Nie, ino siedź cicho. A nie zimno ci?

— I w tem pomyślała — przejęta całą troską o dziecko — Jak zobaczy buty, zaraz je kupię, choćbym miała dopożyczyć pieniędzy.

— Nie, nie zimno mi! — uspokoił ją chłopiec z zsiniałymi wargami.

Agata znów zapatrzyła się w otwarte drzwi i naraz zobaczyła buty. Prawdziwe chłopięce buty. Stróż trzymał je w jednej ręce i ostrożnie, jak zakażone, stawiał przed naczelniczką.

— Choćbym miała nic więcej nie kupić, te butki muszą być moje. Dla Jasia — i zerwał się jej głos — Ja je kupię, pani naczelniczko. Dla mojego Jasia.

— Osiem złotych! — oznajmiła naczelniczka i spojrzała w stronę Agaty, której aże serce skoczyło do gardła z radości, że kupi je tak tanio i ruszyła z miejsca, ale wtem zatrzymał ją Piotr. Chwycił ją szorstko za rękę i krzyknął:

— Dam dziewięć złotych, a ty nie leć tak, bo jeszcze nie twoje.

Stary Ignac też dojrzał wyraźnie buciki. Od razu wydały mu się całe, z dobrego rzemienia i w sam raz dla wnuczka.

— Trzeba je kupić. Wnuczek będzie miał na zimę od święta, albo wymienię je za jakąś przyodziewę. — I powiedział głośno:

— Dziewięć i pół.

Agacie pociemniało w oczach, ale wnet spamiętała się do przodu.

Nie wypuszczę tych butów. Chłopak boso — I, pełna miłości dla tego chłopaka, zawołała na cały głos:

— Dziesięć złotych, pani naczelniczko! Będą już moje?

— Nie! Daję dziesięć i pół — podbił Piotr, wyciągając ku butom ręce.

Jaś Agaty, nie czując obok siebie matki, do której jeszcze parę minut temu tulił się, zaczął się przepychać pomiędzy ludźmi i wykrzykiwać:

— Mama, kaj jesteście? — przytem tak nieszczęśliwie stanął swoim kapciem, że woda aż bryznęła mu na nogawkę.

— Tutaj jestem, synku, tutaj! — Agata porwała Jasia na ręce. Nie myślała o niczym więcej, tylko o tych butach i przez siłę pchała się do stołu.

— Dziesięć i pół, po raz pierwszy — Posłyszała, ale już stała przed naczelniczką. Chłopiec, dostrzegłszy buty dostał rumieńców i zapatrzył się w nie, jak urzeczony.

— Mama, kupcie mi te buty. — Zacisnął ręce koło szyi.

Agata powiedziała pośpiesznie:

— Dam jedenaście złotych! — I teraz już z całej duszy nienawidziła Piotra, przeklinała i Ignacego.

— Morgowce cholerne! Oby ich święta ziemia pochłonęła!

Ale znów doleciał ją z daleka wyniosły, zadowolony ze wszystkiego głos:

— Dwanaście!

— Mamusiu, dlaczego mi nie kupujecie tych butków? — zapytał Jaś Agaty, bliski płaczu.

— Kupuję, dziecko, kupuję. Dam trzynaście!

— Czternaście!

— Dam piętnaście za te buciki! — Stary Ignac poruszył się i począł szukać po zanadrzu pieniędzy.

— O, moja Królowo Pańska, nie dadzą mi widać kupić. Nie dadzą... — zapłakała w sobie, bo w tej chwili znów padło:

— Osiemnaście! — Piotr był nieugięty. Chłopak jego coprawda tych butów nie potrzebował, ale zawsze to — butki, przydadzą się.

Teraz Agatą wyraźnie trzęsło z rozpaczy i wzburzenia. Omdlewały jej ręce, omdlewało i serce, ale przecież i ona nie była pozbawiona nieugiętości. Butki warte najmniej pięćset złotych, na nowe ją nie stać, tych więc nie popuści. Chłopak musi mieć w czym chodzić i znów ozwała się rozedrganym głosem, pełnym skamlącej prośby.

— Pani naczelniczko, niech mi je pani odda za dwadzieścia złotych, to wszystkie pieniądze jakie mam, a chłopiec jest bez butów. O, widzi pani? I podciągnęła wyżej nogi Jasia.

Niemiec zachowywał się cały czas cicho, uśmiechając się do wszystkich dobrotliwie, łaskawie. Ale kiedy zobaczył Jasiowego kapcia, z którego w tym momencie ciekła na stół strużkami błotnista woda, krew buchnęła mu do twarzy, oczy stały się oczami rozjuszonego psa i wrzasnął:

— Raus.



Wyciągnął groźnie rękę i wskazał na Jasiowego kapcia.

Jasio się skulił, rozpłakał, i schował do tyłu za głowę matki, a Agata odruchowo gibnęła się w stecz. Czyjeś ręce podtrzymały ją i nie pozwoliły upaść.

Naczelniczka pośpieszyła z wyjaśnieniem:

— Agato, odejdźcie na bok. Pan żandarm wam tak każe.

Agata przybita, chwiejna i roztrzęsiona odzyskała przytomność i zrobiła parę kroków do tyłu. Ale butków nie spuściła z oczu, choć to cena ich wynosiła już dwadzieścia pięć złotych.

Jaś znów zaszeptał jej gorąco, błagalnie do ucha:

— Kupcie mi te butki, kupcie!

Obejrzała się naokoło. Od kogo możnaby tu dopożyczyć z dziesięć złotych? Dojrzała siostrę, taką samą bogaczkę co i ona i skierowała się do niej:

— Maryś, dasz mi z dziesięć złotych?

— Na te buty? Dam.

Agacie zrobiło się lżej trochę na sercu i cisnęła:

— Dwadzieścia sześć złotych!

I teraz nie żebrała już łaski u naczelniczki, ani u Niemca. Poszukała oczyma Piotra i wpatrzyła się w niego. Jednocześnie wyciągnęła w jego stronę Jasiowego kapcia. Piotr w swoim życiu był częściej pod wozem niż na wozie i zrozumiał. Chrząknął i wyszedł z tłumu.

— Niech ją grzysi! Szkoda mi tych butków, ale nijak mi zabierać je Agacie, takiej nędzarce. — Podszedł do szafy i zaczął ją ładować na furę.

Agata przytuliła mocniej do siebie Jasia i ruszyła ku Ignacemu. Ten był jeszcze jej wrogiem. Jak pójdzie z nim na udry, przegra. Trzeba go lepiej poprosić, a może ustąpi.

Stał oparty na swojej lasce i szarpał nerwowo wąsy.

— Agata, dajesz dwadzieścia sześć złotych? A ja dam dwadzieścia siedem!

— Czy nie macie Boga w sercu, Ignacy? Widzicie moje dziecko?

Ignacemu odruchowo przypomniała się scena powitania Agaty i odpowiedział jej spokojnie, udając, że jej nie widzi:

— A ty widziałaś mojego wnuczka? Powiedziałem: — Dam dwadzieścia siedem złotych.

Odwróciła się. Była zmęczona. Kręciło się jej w głowie, rąk wcale nie czuła, kolana same się jej uginały. Lecz jeszcze raz podniosła się i wyrzuciła:

— Dwadzieścia osiem złotych.

I stał się cud. Stary Ignac dalej szarpał wąsa, ale nie podnosił jakoś ceny. Stał, lekko pochylony, z zaciętymi wargami.

— Dwadzieścia osiem złotych, po raz pierwszy — padło od stołu niemca.

— Mój Boże, jaki ten Ignac dobry. Ulitował się, ustąpił...

— Dwadzieścia osiem złotych, po raz drugi — znów się rozległo.

Agata postawiła Jasia na boku i śmiało wparła się w tłum, zmierzając prosto do butków. W ręku zaciskała całe trzydzieści złotych. Powtarzała:

— To nic, żem się trochę zapożyczyła, ale Jaś zato będzie miał w czym chodzić. I w domu nie będzie mi już tak dukwiał po całych dniach. Niech ma dzieciak, niech ma!...

Do butów miała jeszcze dwa kroki, ludzie dziwnie pośpiesznie ustępowali jej z drogi, gdy naraz rozległ się gniewny trochę głos Ignacego:

— Trzydzieści pięć złotych!

Agata nie miała już sił zawracać. Ustać też nie mogła. Poczuła gwałtowny skurcz serca, zabolało ją, w krtani coś zagrało i zapłakała.

S. A. Pieniążek

Płoty kamienne i opuszczone farmy

Między Bostonem a New Yorkiem leży nad Oceanem Atlantyckim Rhode Island, najmniejszy, najbardziej uprzemysłowiony, a zarazem najbardziej zalesiony stan w całej Ameryce. Lasy pokrywają ponad 60 procent jego powierzchni. Dziwne są to lasy. Krzaki raczej, splątane kolczastymi lianami, dzikim winem i strasznym, trującym sumakiem, którego dotyk powoduje niebezpieczne zatrucie skóry i oparzenia, szpitalem się niejednokrotnie kończące.

Ale nie na tym polega niezwyczajność tych lasów. Czyż nie brak krzaków i u nas na miejscu, gdzie szumieć by mogły wspaniałe bory? Nie sumak, nie liany zajmują uwagę cudzoziemca, ale fakt, że całe te krzaki podzielone są na małe, hektarowe, a czasem mniejsze pólka, odgrodzone jedno od drugiego wysokim i szerokim płotem, zbudowanym z potężnych głazów i mniejszych kamieni.

To nie zapory czołgowe, ani fortyfikacje dla powstrzymania nieprzyjaciela budowane w lasach przez walecznych tubylców To pomnik, jaki wystawiła sama dla siebie ludzka praca. Praca, która stanowiła najistotniejszą część religii pierwszych kolonistów angielskich, którzy na ten brzeg niegościnny przybyli lat temu prawie czterysta.

Uciekli ci ludzie z kraju rodzinnego przed uciskiem religijnym i politycznym. W przeciwieństwie do tysięcy awanturników z całej Europy nie rozbiegli się po całej Ameryce za złotem i rabunkiem. Osiedlili się właśnie tu, na ziemi kamienistej i nieurodzajnej, w klimacie surowym, nad morzem chłodnym i niegościnnym. Poświęcili się uprawie roli, zajęciu najbliższemu ideałowi życia ewangelicznego.

Niełatwe to było życie. Żeby zagon pod kukurydzę przyrządzić, musieli nie tylko wyciąć i spalić las, wykarczować karpy i walczyć z ciągle odrastającym gąszczem, ale usunąć z powierzchni te ogromne masy kamieni, zalegające pola. Składali je w stosy, a najczęściej układali z nich ściany, płoty kamienne, dziś tak charakterystyczne dla tej części amerykańskiego lądu. Dźwigali głazy koloniści, dźwigały ich żony i dzieci przez dziesiątki lat, siłę do tej nadludzkiej pracy czerpiąc ze swej purytańskiej, protestanckiej religii, w surowości i umiłowaniu wszelkiego trudu podobnej chrześcijaństwu pierwszych wieków.

Minęło wiele pokoleń od czasu osiedlenia się pierwszych kolonistów. Cały Rhode Island i stany pobliskie pokrywała gęsta sieć drobnych poletek, obstawionych kamiennymi ścianami.

Na farmach toczyło się życie trybem cichym i wolnym, życie oszczędne i surowe, bez zbytku, bo na to nie pozwalała niebogata z natury, a wyczerpana przez długie lata uprawy cienka warstwa gleby na skalnym podłożu.

Wtedy nadeszła Wielka Zmiana. W przeciągu lat niespełna kilkudziesięciu opustoszał atlantycki brzeg. Tysiące farm rozpadło się w opuszczeniu, las porastał nieuprawiane pola. Ich właściciele wyjechali na Zachód, do stanów świeżo się organizujących i jeszcze niezaludnionych, gdzie ziemi było w bród, tyle, ile kto chciał. A ziemia to nie taka, jak nad Atlantykiem. Loessy i czarnoziemy bajecznie urodzajne, dające plony, o jakich nie śniło się nawet farmerowi z Rhode Island. Oto sąsiad jego wyjechał do stanu Ohio i pisze stamtąd, że na jego nowej farmie dynie rosną tak duże, jak cały obszar Rhode Island..

Nie wszyscy odjechali na Zachód. Zostali farmerzy na najlepszych glebach, oraz ci, którzy najbardziej do swej ojcowizny byli przywiązani.

Z nich właśnie wytworzył się specjalny typ farmera w Nowej Anglii, bo tak nazywa się ten północno - wschodni skrawek Stanów Zjednoczonych, którego częścią jest Rhode Island.. Mało tu cudzoziemców na roli. Większość stanowią Anglosasi z dawna osiedli, purytanie w każdym calu. Pracowici, milczący, religijni, konserwatywni. Alkohol u wielu z nich jest takim samym przestępstwem, jak rozbój. Czystości obyczajów dorównuje czystość języka. Cudzoziemca dziwi tu całkowity brak przekleństw Wyraz „piekło" uważa się za wyrażenie tak sprośne, że głośno, a zwłaszcza przy kobietach, nikt go nie wypowie.

Stany dalej na zachód położone, wybitnie już rolnicze, zupełnie inna zamieszkuje ludność. To element najbardziej ryzykancki i odważny, który uciekł od prostego i surowego życia z nad wybrzeża atlantyckiego. To wreszcie zbieranina z całej Europy, obok Anglosasów — Niemcy, Szwedzi, Holendrzy, Norwegowie i Polacy. Cechuje ich brak tradycji, postępowość i zmysł handlowy. Tu właśnie rozwinął się typ farmera byznesmena, tu gospodarstwo rolne zmieniło się w fabrykę, produkującą zboże, owoce lub świnie, a prowadzoną w sposób zupełnie handlowy z dokładną rachunkowością, dotyczącą strat i zysków, wkładów i dochodów.

Jeśli weźmiemy Amerykę jako całość to przeważa w niej typ farmera zachodniego, traktującego swój zawód jako przedsiębiorstwo, dające mu w danym czasie największe zyski. Zawód farmerski nie przypomina w niczym stanu chłopskiego w krajach europejskich. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że nie tylko farmer często przenosi się do miasta i bierze się do innego zawodu, ale też i naodwrót, mieszkańcy miast nierzadko idą na farmy.

Czyż można sobie w Polsce wyobrazić wymarłe całe wsie, opuszczone kompletnie zabudowania gospodarskie? W czasie wojny tak, ale nie w czasie pokoju. A w Ameryce nie było to rzeczą rzadką przed wojną.. Tak właśnie wyglądały całe okolice w stanie Wyoming. Na pół - pustynnych, choć bajecznie urodzajnych gruntach od wielu lat susza zapanowała niezwykła, że wyżyć z roli było nie można i właściciele uciekli do miasta, czasem o całe tysiąc kilometrów. Oglądałem takie farmy w 1939 r., a że wtedy nie istniało jeszcze słowo „szaber" nie zdziwiły mnie wcale oszklone okna, całe, choć na klucz nie zamknięte, drzwi, nawet niektóre meble, pozostawione w mieszkaniach.

Podobne opuszczone farmy istniały i istnieją zresztą i teraz, nawet niedaleko takich miast, jak New York i Boston. Od biedy można by się było na nich utrzymać, ale pocóż miał trzymać się ich farmer, jeśli gdzieindziej mógł na lepsze życie zapracować? Przesiąknięty tradycją Europejczyk z oburzeniem patrzy na amerykańskiego farmera, dla którego jego zagon ojczysty wcale nie jest święty, a jeśli przedstawia jakąś wartość, to tylko w dolarach obliczoną, jak inne towary handlowe. Farmer z pod Chicago czy Pittsburga nie przejąłby się wcale naszym oburzeniem. Tradycja? Ma jej wiele farmer nowo - angielski, ale i tam znajduje się ona w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do zamożności. A już lepszego przykładu nie trzeba jak stany południowe, kraj urodzajny i przebogaty jeszcze sto lat temu, a dziś obfitujący w bezludne dzikie pustynie. Ale Południe — to już temat sam w sobie.

Płoty kamienne i opuszczone farmy to dla mnie symbol amerykańskiego farmera. Praca choćby ponad siły. Zdolni byli do niej nie tylko pierwsi koloniści, ale i ich godni następcy. Śmiałość i odwaga, wyrażająca się w opuszczeniu ojcowizny, gdy trzeba, byle tylko dopiąć celu. A celem tym jest zwyczajne znośne życie. Żeby zjeść i mieszkać jak człowiek.

Przyziemne ideały, prawda? Tak. Ale czyż nie o to głównie ludzkość walczy? Primum edere deinde philosphare. Po zaspokojeniu tych pierwszych potrzeb przyjdzie czas i na inne.

Marian Dąbrowa

O nauczycielu ludowym

W poszukiwaniu tradycji

Wskazania Komisji Edukacji Narodowej w zakresie wykształcenia nauczyciela szkoły elementarnej regulują dość wyraźnie sprawę poziomu i jego przygotowania umysłowego, określają zakres funkcji i uprawnień. Pod tym względem jest to zjawisko przełomowe - dlatego wzięliśmy je jako pewien zwrotny punkt w historii szkolnictwa powszechnego i dziejów nauczyciela.

Dr Zygmunt Kukulski w obszernej pracy zatytułowanej „Pierwiastkowe przepisy pedagogiczne Komisji Edukacji Narodowej z lat 1773—1776[1]) przytacza wypowiedź jednego z promotorów Komisji, Franciszka Bielińskiego, który w szeregu listów dawał swój pogląd na nauczanie, wychowanie oraz na zagadnienie nauczyciela: jego przygotowania, zdolności i umiejętności fachowych — że użyjemy tutaj współczesnego wyrażenia.

Zdanie Franciszka Bielińskiego zacytujemy dosłownie, albowiem jest ono wielce charakterystyczne. Ono jest tym najwcześniejszym głosem publicznym, który próbuje kreślić sylwetkę nauczyciela. Brzmi więc ono, jak następuje: „Niechaj zatym, ten, który ich uczy, wprawia ich do sposobu uczenia jasnym tłumaczeniem się, wznieceniem ciekawości do kontynuowania nauki, gruntownym rozwiązaniem trudności, skróceniem przydłuższych i nakoniec staraniem przystosowania nauki do pojętności uczącego się".

Ta charakterystyka nauczyciela odbita w publicystyce, zatem luźna do pewnego stopnia i swobodna posiada oczywiście wiele braków, wiele luk — jest niekompletna, ale zawiera jeden walor: pozwala zaryzykować twierdzenie, że nauczyciel, który by miał wymagane przez Franciszka Bielińskiego cechy, musi posiadać stosunkowo wysokie przygotowanie ogólne, naukowe, gdyż jest niepodobieństwem łączyć te warunki dydaktyczne z elementarnym li tylko wykształceniem.

Jedynym brakiem, który by sobą dopełnił pewien szkic sytuacji nauczyciela w owym czasie, jest brak realnej możliwie sylwetki ludzkiej: — brak praktycznego odpowiednika w życiu ówczesnym z tej dziedziny. Ani literatura piękna, ani dokumentarna nie przekazały nam popularnej osoby owego nauczyciela ukształconego na wzorach i projektach pozostawionych przez Komisję Edukacji Narodowej.

Ale logicznie rzecz biorąc, sprawa nie jest całkowicie stracona. Chcąc mieć nauczyciela o tak wysoko postawionej możliwości nauczania, trzeba mu byłoby dać również stosunkowo wysokie wykształcenie, naukę, a nauka jest to miecz obosieczny, która nawet połączona ze specyficznym wychowaniem może się okazać w skutkach wręcz odwrotna od początkowych zamierzeń.

Prawo wpływu, prawo kształtowania osobowości człowieka przez warunki zewnętrzne, nie ginie jak nożem uciął. Refleks zmian, przebudowy, reform trwa nieraz długo i sięga daleko. Inną rzeczą będzie szerokość zasięgu ich promieni, a inną trwanie w czasie. Postać Kazimierza Deczyńskiego jako nauczyciela jest niezbyt odległa od tych czasów, stąd zbiera on w sobie oba wypadki: jest uczniem właśnie szkół zreformowanych przez Komisję Edukacji Narodowej i, to uczniem, który jak gdyby „wyrodził się", zawiódł pokładane w nim nadzieje, stając się społecznym na owe czasy „wyrodkiem".

Kazmierz Deczyński jest wychowankiem ówczesnych szkół zreformowanych przez Komisję Edukacji Narodowej, której wysiłki długo jeszcze przetrwały w życiu społeczeństwa, choć ono nie posiadało już dawno własnego państwa. Nie mniej musiał na niego wpłynąć ów okres wstrząsów, rewolucji i przeobrażeń tegoczesnych. Przebrzmiała niedawno wielka rewolucja francuska, polskie insurekcje, zamęt i walki polityczno - społeczne, w której hasła radykalne rozlegały się bardzo głośno zapewne. Były to również lata błyszczenia gwiazdy napoleońskiej, jego radykalizm i radykalizm urządzonych przez niego republik, stykanie się z powracającymi z wojen żołnierzami napoleońskimi — oto droga, która do umysłowości Kazimierza Deczyńskiego trafiła nuta jego rewolucyjnych potem przekonań. To więc właśnie i nauka urobiły jego sylwetę duchową.

Wnioskowania nasze zmierza ku temu, ażeby typ umysłowo dość wysoko stojący - typ nauczyciela wykształconego przy końcu XVIII wieku utożsamić z typem z początków wieku XX — takim właśnie Kazimierzem Deczyńskim. Będzie on zatem tylko klasycznym i najwybitniejszym przedstawicielem tego gatunku nauczyciela w owym czasie, przedstawicielem uświadomionym klasowo, umiejącym określić swoje stanowisko i potrafiącym zdefiniować swoją postawę w stosunku do najżywotniejszych ówcześnie problemów walki stanów: szlacheckiego i chłopskiego.

Pragniemy stwierdzić, że w późniejszych epokach rozwoju szkoły i nauczyciela będzie Kazimierz Deczyński tym właśnie typem działacza, z którym późniejsze pokolenia nauczycieli będą odczuwały żywy, organiczny związek — trybunem, który się wyraźnie zadeklaruje po stronie świadomości i walki klasowej ludu polskiego: chłopa i robotnika. Inaczej: im wyżej umysłowo stał nauczyciel polski ze szkoły powszechnej, tym bardziej czuł się cząstką walczącą przednich szeregów warstw upośledzonych w kraju.

Obraz tego nauczyciela posiada już wyraźne oblicze społeczne, umysłowe i kulturalne. Pozostałe po nim pamiętniki są cennym dowodem rzeczowym w sprawie, która nas tutaj zajmuje w tych notatkach, naświetlając osobę nauczyciela i jego stanowisko bardzo wyraźnie.

Kazimierz Deczyński to postać historyczna, która zainteresowała się nauka i dała temu specjalny wyraz[2]). Również i literacko zjawisko jest opracowane dość obszernie — Leon Kruczkowski poświęcił mu swoją powieść zatytułowaną „Kordian i cham", zespalając w niej romantyzm Słowackiego z dokumentarnym realizmem przeżyć autentycznego człowieka.

Dla nas najważniejszym jednak problemem jest to, że Kazimierz Deczyński był nauczycielem, pracownikiem oświatowym wywodzącym się z tych dołów, którym oddawał okruchy swej niewielkiej wiedzy, ale o tyle uświadomionym, że zdawał sobie sprawę z upośledzenia i krzywd warstwy, która go wydała.

Kazimierz Deczyński jako prototyp współczesnego nauczyciela szkoły powszechnej wywarł wpływ dość silny. Jeszcze w stulecie blisko jego zgonu jedno z czasopism nauczycielskich[3]) pisało o nim krótko, ale bardzo dosadnie:

„za napisanie chłopom skargi na gwałty i nadużycia dzierżawcy majątku Brodnia został pozbawiony stanowiska nauczyciela i jako szeregowiec wcielony do wojska. Skromną jego osobą zainteresował się nawet wielki książę Konstanty, z którego polecenia oddano go pod nadzór, jako człowieka burzliwego umysłu i buntownika.

Narażony na upokorzenia i poniżenia nie ugiął się. Pozostał sobą. Nie zaparł się swojego chłopskiego pochodzenia, nie ubiegał się o względy swoich prześladowców, nie tłumaczył się lecz walczył. Rzetelną pracą i godnym zachowaniem się w czasie powstania listopadowego zdobył zaufanie oraz uznanie u najbliższych przełożonych i został mianowany oficerem. Po upadku powstania znalazł się we Francji. Tu postanowił w formie pamiętnika opisać położenie chłopów w Polsce i wydać w języku francuskim. Zamiar ten wśród oficerów polskich pochodzenia szlacheckiego wywołał ogromne zaniepokojenie. Oskarżono go o zdradę sprawy narodowej, okrzyczano jako człowieka bez czci i wiary, posądzono nawet o szpiegostwo na rzecz rządu rosyjskiego, co było wierutnym kłamstwem. Niejaki hr. Mostowski znieważył go czynnie, a następnie uchylił się od dania mu satysfakcji honorowej z bronią w ręku. Sprzysięgła się przeciwko niemu cała reakcja szlachecka. Rękopis pamiętnika gwałtem mu zabrano. Komitet Narodowy w Londynie, do którego się zwrócił o obronę przed oszczercami, uchylił się od rozpatrzenia jego sprawy.

Zaszczuty przez oszczerców, znieważony, osamotniony i pozbawiony *środków do życia* — zmarł w 1838 roku przeżywszy zaledwie 38 lat".

*

Wiek XIX i XX są okresem odkryć, wynalazków i wstrząsów socjalnych.

Na zachodzie była kwestia robotnicza, powstawały związki zawodowe, tworzyły się międzynarodówki socjalistyczne łączące w bloki ideologiczne warstwy świata pracy — na naszych ziemiach objętych granicami rosyjskiego imperium za socjalizm groziło więzienie, groziła zsyłka na Sybir, groziła kara śmierci: stryczek. Jakże w tych warunkach mogła szkoła powszechna i jej nauczyciel doznać opieki państwa? Nauczyciel: budziciel zdolności samodzielnego myślenia, krytycyzmu we wszelkiego rodzaju radosnych światach objawień pragmatyzmu w powstawaniu zjawisk ziemskich i ludzkich?

Jak zatem wyglądały najważniejsze filary naszej struktury społecznej, w które wbudowana była szkoła? Składały się więc one z dwu zasadniczych elementów: dworu i kościoła. One były owymi podwalinami, na których spoczywało całe prawie życie milionowych mas ludowych polskich. Dwór reprezentował życie społeczno - gospodarcze: zbierał je wokół siebie, nadawał mu poziom, ustalał zakres, dyktował rodzaj. To zagadnienie około roku 1900 nie wiele inaczej przedstawiało się niż przed rokiem 1864.

Kościół wraz ze swoimi wszystkimi artybutami historycznymi był reprezentantem strony obyczajowej czy umysłowo-społecznej. On był regulatorem i przedstawicielem tego skomplikowanego zjawiska w życiu ludzkiej gromady, które dziś zastępuje książka, gazeta, zebranie, teatr, sport, wycieczka, szkoła świecka, to wszystko, co dzisiaj nazywamy wyżyciem się instynktu społecznego.

Otóż jednym z tych ogniwek stanowiących łańcuch spraw kościoła była szkółka ludowa czy szkółka elementarna, czy — jak ją dziś nazywamy technicznie — szkoła powszechna. Równorzędność czynników: kościół — dwór w zakresie panowania nad masą chłopską jest uderzająca w stosunku do wybitnej podrzędności szkoły elementarnej. Wszak nie wiele ludzi wie, że profesor wiejski uczący niektóre dzieci chłopskie umiejętności odczytywania dużego i małego abecadła, był jednocześnie w kościele organistą albo zakrystianem.

Rzecz zrozumiała, że w tych warunkach i na owe czasy kościół przytłaczał szkołę odbierał jej wszelkie cechy indywidualne. Cały ten skomplikowany aparat: dziecko — nauczyciel — szkoła — był tylko poślednim elementem w ramach potężnej budowy obejmującej życie duchowe pewnego środowiska: organizacji kościelnej.

W tych warunkach nie mogło być mowy również o indywidualności, czy, jak byśmy dziś powiedzieli, osobowości nauczyciela szkoły powszechnej w znaczeniu masowym. Nie kształcony sam dla siebie miał posiadać tylko pewne szczupłe umiejętności, które by mógł przelać na innych — w tym wypadku na dzieci wiejskie w swojej parafii.

[1]) Dr Zygmunt Kukulski — „Pierwiastkowe przepisy pedagogiczne Komisji Edukacji Narodowej z lat 1773—1776" — Lublin 1923; Franciszek Bieliński — „Sposób Edukacji w XV listach opisany, które do Komisji Edukacji Narodowej... były przesyłane" (strona LXIX).

[2]) Marceli Handelsman — „Żywot chłopa polskiego na początku XIX stulecia Warszawa 1907, G. Centnerszwer i S-ka.

[3]) „Głos Nauczycielstwa Mazowieckiego" miesięcznik — organ Okręgu Warszawskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego, Warszawa, Rok III, Nr 9 (24), maj 1937, str. 31.

Wacław Szymanowski

Upowszechnienie wyższego szkolnictwa

Prawie niepostrzeżenie przeszła w prasie i w społeczeństwie wiadomość o zatwierdzeniu przez Komisję Oświatową Sejmu Ustawodawczego Dekretu Rządowego o stopniu inżyniera. A jednak wiadomość ta zasługiwałaby na szerszą uwagę i omówienie, gdyż zapowiada ona wielkie przemiany, które muszą w krótce nastąpić w studiach wyższych. Głębokie reformy społeczne, które przeżywa nasz kraj, muszą także znaleźć swój wyraz w organizacji oświaty i kultury. Inaczej reformy te i przemiany byłyby niekompletne i nieugruntowane, gdyż zostawiałyby na uboczu jeden z najważniejszych czynników społecznych, tj. wychowanie młodego pokolenia.

JAK TO BYŁO PRZED WRZEŚNIEM

Nie mam zamiaru pisać tu historii naszej inteligencji. Temat ten był już wielokrotnie i wyczerpująco omawiany przez wielu autorów. Jeżeli jednak mamy rozumnie dyskutować na temat przyszłych studiów wyższych i o ich upowszechnieniu, to nie sposób nie wspomnieć, choćby pobieżnie, o pewnych faktach tej historii.

Sprawą zasadniczą jest zagadnienie dotychczasowego pochodzenia inteligencji i jej dróg rozwojowych. Każdy kto zna niezabarwioną historię naszego kraju pamięta, że inteligencja nasza w XIX wieku formowała się przeważnie ze zbankrutowanego ziemiaństwa, z pewną domieszką niemiecko - żydowskiego mieszczaństwa i z bardzo nielicznych przedstawicieli chłopstwa. Kultura i obyczaje tej warstwy musiały więc być szlacheckie i wszelki świeży dopływ do niej był urabiany w tym duchu. Pod grozą wykluczenia z niej, były narzucane dobre i złe tradycje szlacheckie, jej przywary, a nawet jej sposób myślenia, kosztem indywidualności nowo wstępujących w jej szeregi jednostek. Rzecz oczywista, że stan taki musiał się także odbić na poglądach, na wychowanie i oświatę społeczeństwa.

Na najwyższym szczeblu, tam, gdzie jeszcze było choć trochę majątku, lub nadziei na ten majątek, wystarczało przecież „domowe wykształcenie", bo dobre urodzenie było dostatecznym paszportem dla kariery. Tam gdzie już majątku nie było, tam trzeba było czegoś solidniejszego, pamiętając zawsze o swoim pochodzeniu, i ewentualnym celu powrotu do dawnej ziemiańskiej świetności. I właśnie dlatego, trzeba było stworzyć, w zmieniających się warunkach społecznych jakąś nową elitę, „arystokrację ducha", która by dopuszczała do siebie tylko wybrane i pod każdym względem przesiane jednostki.

Koniec XIX i początek XX wieku wprowadzają pewną zmianę do tego stanu rzeczy. Ruchy rewolucyjne i społeczne zwiększają wpływ jednostek ze środowisk chłopskich i robotniczych na pewien odłam naszej inteligencji. Niestety jednak i ten wpływ jest, z małymi wyjątkami, nie wystarczający dla zmiany zasadniczych cech tej warstwy, to jest jej stałego poczucia wyłączności i wyższości, oraz przywiązania do obyczajów i tradycji szlacheckich. Tytuł naukowy, czy nawet inżynierski był jednym z dowodów przynależności do tej warstwy, a także niejako usprawiedliwieniem tej wyłączności. Stan ten popierają władze zaborcze, cesarskie Niemcy, carska Rosja, a przede wszystkim zmurszała pół-feudalna Austria, która wprawdzie dopuszcza większą ilość synów chłopskich na uniwersytety galicyjskie, ale równocześnie każe się im we wszystkim stosować do obyczajów i tradycji istniejącej już inteligencji. Natomiast synowie bogatszych rodziców jeżdżą do Austrii i Niemiec, rzadziej już znacznie na zachód, aby tam zyskiwać dyplomy wszelkiego rodzaju, z podkreśleniem dodatku „von" przy nazwisku, mającym świadczyć o ich pochodzeniu.

Zamożniejsza ta młodzież czuje się dobrze w austriackiej i niemieckiej atmosferze korporanckiej i wraca do kraju do pracy w swoim zawodzie, przekonana dalej o swojej wyłączności i wyższości w społeczeństwie. Wstrząs wielkiej wojny i powstanie Polski nie zmienia wiele w tym stanie rzeczy. Żywe są bowiem jeszcze tradycje austriackie, niemieckie, czy Petersburskiego Korpusu Paziów. Szkoły akademickie, a nawet życie akademickie wzoruje się na austriackich wzorach, ba nawet niemieckie są zbyt mało wyłączone. Z tytułu inżyniera robi się jak w Austrii tytuł naukowy, żeby za dużo inżynierów nie było. Utrudnia się dostęp do wyższych uczelni z roku na rok, jak też same studia, przedłużając niewspółmiernie i często niepotrzebnie ich trwanie.

Cóż kiedy struktura ekonomiczna Kraju nie pozwala nawet na pełne wyzyskanie z takim trudem zdobytych dyplomów. Zamiast twórczej pracy dla kraju na kierowniczych, czy naukowych stanowiskach absolwenci naszych politechnik są często zmuszeni wysługiwać się na podrzędnych posadach, a nawet w roli zwykłych akwizytorów czy agentów obcych interesów, które zawładnęły naszym życiem gospodarczym. A absolwenci naszych uniwersytetów? Ci, z wyjątkiem lekarzy, byli skazani na wegetację urzędniczą lub nauczycielską, mając przynajmniej tę pociechę, że mniej czasu poświęcili na studia.

JAK TO BYŁO LICZBOWO

Ale może to wszystko jest wielką przesadą, przecież spotykało się wielu inteligentów o chłopskich nazwiskach. Więc jakżesz to naprawdę było konkretnie, liczbowo. I tu zdawało by się, że mało mamy materiałów, aby dać odpowiedź na to zagadnienie. A jednak zachowały się prace, które naświetlają dokładnie właśnie tę sprawę i pozwalają na wyciągnięcie wielu wniosków.

Chcę przypomnieć pracę wydaną w roku 1937 przez Mariana Falskiego „Środowisko społeczne młodzieży, a jej wykształcenie". Jest to praca statystyczna z referatu statystycznego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W pracy tej przeprowadza Falski systematyczne badania pochodzenia młodzieży od przedszkola i pierwszej klasy szkół powszechnych do pierwszego roku szkół wyższych dla roku szkolnego 1935/36.

Z tablic i wykresów widać tam jak odsetek młodzieży niezamożnej ze środowiska chłopskiego i robotniczego raptownie maleje od I-ej powszechnej do pierwszego roku szkół wyższych włącznie i jak na pierwszym roku szkół wyższych pochodzi ona przeważnie z już że środowiska zamożnego. Może kilka suchych liczb, wyjętych z tej pracy oświetli najlepiej ten stan rzeczy.

I tak odsetek stundentów pierwszego roku według zawodu i stanowiska ojca wynoszą dla poszczególnych grup:

1. Dzieci rentierów 11,2 proc.,
2. Dzieci większych przedsiębiorców 6,9 proc.,
3. Dzieci większych właścicieli i dzierżawców rolnych 3,3 proc.,
4. Dzieci osób zajmujących się wolnymi zawodami 6,9 proc.,
5. Dzieci pracowników umysłowych w instytucjach publicznych 27,5 proc.,
6. Dzieci pracowników umysłowych w przemyśle, handlu itp. 8,2 proc.,
7. Dzieci pracowników umysłowych w rolnictwie 2,0 proc.,
8. Dzieci mniejszych przedsiębiorców 12,0 proc.,
9. Dzieci mniejszych właścicieli i dzierżawców rolnych od 15 do 50 ha 2,2 proc.,
10. Dzieci mniejszych właścicieli i dzierżawców roln. od 5 do 15 ha 4,3 proc.,
11. Dzieci mniejszych właścicieli i dzierżawców rolnych do 5 ha 5,2 proc.,
12. Dzieci niższych funkcjonariuszy — 4,7 proc.,
13. Dzieci służby domowej 0,3 proc.,
14. Dzieci robotników w przemyśle i handlu 4,1 proc.,
15. Dzieci robotników rolnych 0,9 proc.

Z zestawienia tego wynika, że 66,3 proc. studentów pierwszego roku szkół wyższych stanowiły dzieci najzamożniejszej grupy ludności, tj. rentierów, większych przedsiębiorców i właścicieli ziemskich, osób wykonywujących wolne zawody i najemnych umysłowych. Natomiast dzieci wszystkich innych grup ludności, średniej i gorzej sytuowanych stanowiły tylko 33,7 proc. Jest to tym bardziej znaczące, że w pierwszej klasie szkół powszechnych zamożniejsze dzieci pierwszej grupy stanowiły tylko około 3,7 proc., kiedy dzieci grupy biedniejszej stanowiły 96,3 proc. Z bardzo szczegółowych zestawień Falskiego widać, jak ten odsetek dzieci ludności biedniejszej maleje przez cały okres studiów gimnazjalnych na korzyść grupy bogatszej.

Sam autor dochodzi do wniosku, że grupy bogatsze będące nie więcej jak 1/30 ludności zajmują 2/3 miejsc na wyższych uczelniach.

Równie ciekawe jest zestawienie wyboru kierunku studiów tej młodzieży. Według statystyki i wniosków Falskiego, na kierunki studiów jak, teologia i prawo kanoniczne, prawo i nauki polityczne i filozofię wypadało tylko około połowy uczniów z pośród dzieci większych przedsiębiorców i właścicieli ziemskich, osób wykonywujących wolne zawody i najemnych umysłowych, natomiast 3/4 uczniów z pośród dzieci mniejszych właścicieli i dzierżawców rolnych i dzieci robotników.

Tymczasem na medycynę, rolnictwo, technologię i handel skierowywują się dzieci bogatszej grupy w daleko większym odsetku, aniżeli dzieci grup biedniejszych. Nawet na studia rolnicze idą w większym odsetku jedynie dzieci większych właścicieli i dzierżawców rolnych (27 proc.) i poczęści właścicieli i dzierżawców mniejszych (15 do 50 ha) (13 proc.). Natomiast w odsetku bardzo nieznacznym, około 5 proc., dzieci właścicieli i dzierżawców do 15 ha i dzieci robotników rolnych. Widać więc z tego, że wszelkie studia zawodowe były ze względów finansowych w dużej mierze zamknięte dla biedniejszej młodzieży i, że nasza zawodowa inteligencja nie odświeżała się prawie wcale, jak to ma miejsce na zachodzie, a w szczególności w Ameryce ,ale pozostawała w stanie, który można by nazwać statycznym.

Nie ma powodu sądzić, żeby odsetki młodzieży .na wyższych uczelniach były wiele różne dla lat, dla których Falski nie przeprowadził takiej statystyki, gdyż liczby te wiązały się ściśle z ustrojem ekonomicznym kraju, a ten się zasadniczo nie zmienił w latach przedwrześniowych. Jeśli więc przyjąć powyższe liczby, jako mniej więcej reprezentujące stan przedwojenny, to wiele rzeczy staje się dla nas bardziej jasne z tego okresu. I tak na przykład uwypukla się fakt, że młodzież wyższych uczelni tylko w bardzo niewielkim stopniu reprezentowała ogół młodzieży polskiej. Była to przecież młodzież, która w liczbie około 78 proc., jeśli doliczyć także dzieci mniejszych przedsiębiorców, pochodziła ze środowiska szlachecko - mieszczańskiego i drobno mieszczańskiego i nie wiele miała wspólnego z wielkimi masami dzieci chłopskich i robotniczych. Stąd specyficzne nastawienie tej młodzieży będącej nieświadomie narzędziem w ręku tych, których interesem było zachowanie swego stanu posiadania. Stąd różne jej wybryki związane ściśle z ideologią szlachecko - mieszczańską i drobno - mieszczańską. Stąd pewna skostniałość światopoglądu całej naszej inteligencji, a nadewszystko widać stąd także jak odosobnione były ówczesne sfery rządzące od mas narodu, kiedy nie chciały one i nie umiały zapewnić sobie przez szkoły wyższe ciągle nowego dopływu świeżych i zdolnych jednostek z najszerszych warstw społeczeństwa.

Klemens Oleksik

DWÓR ROZPARCELOWANY

Dwór. Biały, z klombem.
Ogród za domem.
Sad.

Sentymentalna panienka
o delikatnych rękach
jak kwiat.

W czworakach
zdechła świnia:
płacz.
Lament.

(Czworaki za ogrodem).

Aleja lip. Cienista.
Panienka i on.
(Aleja cała w kolorowych listkach)
Z oddala — fortepian
i płacz za prosięciem młodym.

I twarde ręce czworaka,
i gładkie rączki panienki.
Aleja. A na krzakach
jak kolorowe piosenki
jarzębiny.

(Na poduszce jedwabnej
cichą tęsknotę ktoś płakał)...

Na zgrzebnej — płacz za prosi[illegible]
I w chacie zgrzebnej dziecko.

Jak sięgnę tylko pamięcią:
daleko, daleko, daleko:

Sentymentalny obrazek:
w gąszczu zieleni i kwiatach

stali do wczoraj razem
dwór biały, zgrzebna chata.

W czworakach zdechła świnia:
płacz.

1945

W OSTATNIM 17 (96) N-rze „WSI"
z dn. 27.IV. 47 r.:

Jan Aleksander Król — Mit parceli; **Wł. Blachowski** — Pszenica pod Moskwą (tłum. T. Chróścielewski); **Władysław Ozga** — Przyszłość gospodarcza wsi; **Czesław Schabowski** — Ranek; **Tadeusz Kajkowski** — Pozdrowienie; **Edmund Całka** — Bunty i powstania chłopów opolskich; **Józef Andrzej Frasik** — Wspomnienie o Wincentym Kugliinie; **Stanisław Ciesielczuk** — *** (wiersz); **E. Kwiatkowska** — Ubezpieczenia społeczne wczoraj i dziś; **Bronisław Kamiński** — Próba dobrej woli; **Walery Osmenda** — Dzisiejsza poezja chłopska; **Komunikaty, ogłoszenia, 7 ilustracji,** 8 stron.

A. F. Kirło-Nowaczyk

Dzieje pewnej przyjaźni

Z przyjaźnią naszą ma się podobnie, jak z bohaterami powieści Sienkiewicza. Odnajdujemy się po to widocznie, żeby znów na parę lat stracić się z oczu. A przecież przyjaźń nasza datuje się od tak dawna! W tym roku właśnie moglibyśmy obchodzić uroczystość nielada: jej 20-lecie. Dwadzieścia lat! Jakiż to szmat czasu, ile spraw dokonało się w tym okresie z naszym czy bez naszego udziału. Pierwszy Twój list pisany do mnie nosi datę 25.3. 1926 r. Byłeś jeszcze wówczas Lipcem-Trepińskim, idealistą i marzycielem. Miałeś wiele pragnień, zamiarów i dobrych chęci, które jednak nigdy nie miały się ziścić. W tym okresie swego życia byłeś wraz z wielu innymi gorliwym propagatorem „literatury ludowej". Utrzymywałeś bliskie stosunki z Kapuścińskim, Ferdynandem Kurasiem, Tułacz-Bocheńskim, żeby chociaż tych paru wspomnieć. Korespondowałeś z prof. Sroką, miałeś w swych rękach listy Żeromskiego, Rodziewiczówny. Bardzo dużo jak na Twoje 17 lat życia! Byłeś w posiadaniu niezliczonych manuskryptów, biografii i podobizn poetów i literatów ludowych owej „braci słowiczej", której organem był wileński „Lirnik". Ba, byłeś już wtedy autorem książek, o których miałeś się później wyrazić, że nie są warte „funta kłaków"! Nosiłeś się z poważnym zamiarem napisania olbrzymiej (500-set stronicowej) historii literatury ludowej za lata 1900—1925, do czego właśnie miały Ci posłużyć piramidy listów z całego kraju.

Miałem wówczas też lat 17 i stawiałem pierwsze kroki w literaturze. Ganiłeś niejedno, zarzucając mi reminiscencje i wpływy, chwaliłeś to i tamto, Ty — nieletni przybłęda tułający się po redakcjach warszawskich, żyjący z domokrążstwa itp. tułacze dwutomowych „Dziejów Maniaków" nigdy niewydanych, a następnie spalonych w piecu.

W roku zdaje się 1927 wracasz „per pedes apostolorum" z dalekiej Warszawy w rodzinne pielesze do Śremu, woj. poznańskim. Odtąd aż po rok 1929 piszemy sobie nawzajem długie naszpikowane literaturą i filozofią listy. Czy sobie mój drogi wyobrażasz, że wszystkie te epistoły są dotychczas w moim posiadaniu? A jest ich kilkadziesiąt. Zamknąłeś w nich kawał swojego życia, bynajmniej nie usłanego różami. Ale niechże to co wówczas pisałeś pozostanie między nami. Dość, że kilkuletnia tułaczka po Polsce wyzwoliła Cię zupełnie z więzów „literatury ludowej", do tego stopnia, że po „Lirniku" i „braci słowiczej" nie pozostało nawet odrobiny dymu. Ale Ty, mój drogi stanąłeś wtedy na rozdrożu, chciałeś zostać księdzem, marynarzem, polskim Kimband'em. Nic z tego, skoro los zaprowadził Cię za biurko redaktora „Kuriera" i „Wiadomości Śremskich". Niedługo trwał żywot Twoich gazet. W rezultacie przedzierzgnąłeś się w zawołanego bibliotekarza hrabiów i baronów Wielkopolski.

Lecz i w tych latach „wagabundztwa" znalazłeś dość czasu na to, by kierować moimi krokami. Śledziłeś z uwagą moje pierwociny drukowane po różnych dodatkach świątecznych. Za słowa krytyki i zachęty jestem Ci wdzięczny.

Niestety korespondencja nasza miała się nagle urwać. Z jakiego powodu, tego do dzisiaj jeszcze nie wiem. Sądzę, że i Ty również. Z tych lat prócz kupy listów pozostało jeszcze wspomnienie „zjazdu" w Jarocinie, pamiętasz? Pierwszy i ostatni raz widzieliśmy się wówczas w życiu. Spotkanie ograniczyło się do dwóch zaledwie godzin, spędzonych w poczekalni kolejowej, w czasie których staraliśmy się wzajem przeniknąć do głębi. Ta konsultacja jak sam stwierdziłeś, wyszła nam obu na dobre.

Ale Ty, mój drogi przepadłeś po roku 1929 jak kamień w wodzie. W tym czasie zaszły w moim życiu poważne zmiany. Zostałem nauczycielem szkoły powszechnej, obijałem się po „różnych stronach" Wielkopolski, ożeniłem się i doczekałem się dzieci. Daremne były moje wysiłki, ażeby odnaleźć bodaj drobny ślad Twego istnienia. Sądziłem rozmaicie o Tobie, aż do przypuszczenia, że nie ma Cię już między żyjącymi. Aż oto wiosną 1939 r. drobny na pozór traf sprawił, że odkryłem Cię w roli redaktora jednego z pism codziennych Warszawy. Stało się to na skutek recenzji o Twojej broszurce „Dziennikarz na prowincji". Przesłałeś mi potem ową broszurkę z własnoręczną dedykacją: „Kochanemu... w 14 rocznicę przyjaźni". Na list nie znalazłeś czasu.

A później wybuchła wojna. Drogi nasze rozszły się na cały okres okupacji. Mnie i moją rodzinę rzuciły losy na poniewierkę po Niemczech.

Ty przetrwałeś czasy pogromów stolicy. Ale o tym dowiedziałem się dopiero w roku 1946, kiedy dzięki uprzejmości redakcji „Odrodzenia" odnalazłem Cię znów w Krakowie. Serdeczny był Twój list po 15 latach milczenia. I jak z Twoich słów wynikało, nie obce Ci było to wszystko, co dotyczyło naszej przyjaźni w okresie niezawinionej rozłąki.

Wreszcie któregoś dnia kwietniowego 1946 r. przyniosła mi poczta Twoje ostatnie dzieło zatyt. „Ostatki polskie — Tragedia książki". Nie czuję się w kompetencji pisania recenzji o Twojej książce. Niech to wykona za mnie ktoś bardziej do tego powołany. Twoje dziełko cenię przede wszystkim jako dar szczerego zawsze przyjaciela. Twoją miłość do książki, której dajesz wyraz w „Ostatkach" rozumiem i szanuję Twój ból po stracie biblioteki. W jednym z nr „Odry" nazwano Cię w pewnym artykule „cudownym księgarzem z Krakowa". Sądzę, że nie życzyłbyś sobie bardziej pochlebnej opinii. Doprawdy, mój drogi! Bo sam pomyśl, czy istotnie nie jesteś człowiekiem z cudownego zdarzenia? Obejrzyj się wstecz, obejmuj myślą to, co zostało za Tobą na przestrzeni 20-letniej naszej przyjaźni. Czy ten szmat Twojego życia nie jest nienapisaną powieścią, o której bohaterze możnaby powiedzieć, że szedł przez życie z uporem maniaka, by z ludowego literata stać się zagorzałym bibliofilem?

Może Cię zastanowić jedno, mój Antku: dlaczego piszę o tym wszystkim? Przyznaję się otwarcie, że nie zdaję sobie dokładnie sprawy z tego, jaki cel przyświeca temu artykułowi. Widzisz mój przyjacielu! Tyś przed laty zeszedł z drogi, na której znaleźliśmy się obydwaj przypadkiem. Być może, że podówczas nie śniło Ci się o tym, jakie koleje losu spotkają Twą literaturę ludową. Nikt z nas wielu o tym nie myślał. I trzeba było dopiero tak wielkich przemian na świecie i w kraju, by dzisiaj innym spojrzeniem ogarnąć rzeczywistość kultury dołów społecznych w Polsce. Wprawdzie nazywamy się pisarzami „chłopskimi", ale tu nie o ten przymiotnik chodzi. Jest on raczej dzieleniem kierunku literackiego i przynależności naszej do pewnej warstwy społecznej. Literatura „chłopska" to już nie owe skowronczane zawodzenie, to nie Twoje „Kasine żale", ani moje „Oj ostre kosy nasze", w których dopatrzyłeś się ongiś wpływów Struga. To było przed 20 laty, wcześniej jeszcze i później. Zresztą po co pisać Ci o tym, skoro sam zdajesz sobie sprawę z faktów, że oddział wiejski ZZLP, to nie jest „brać słowicza" spod znaku liry „śpiewnej i rzewnej", podzwaniającej echem Konopnickiej i Lenartowicza. Powiesz, że nie ze wszystkim jest dobrze, że mamy pośród siebie epigonów Jantka z Bugaja i kochanego Ferdynanda. No tak, i za diabłem wlecze się ogon.

I jeśli pokusiłem się o napisanie tego fragmentu pamiętnika, to chyba dlatego, że Ty mój Antku byłeś niegdyś obok Karasia i innych, jednym z tych, co w kulturze ludowej odegrali swoją (broń Boże nie chcę przesadzać!), historyczną rolę. Poza tym niechaj wspomnienie o naszej przyjaźni będzie drobnym wycinkiem z żywota pisarza chłopskiego, który wytrwał na posterunku, żeby dobić po wielu latach powodzeń i klęsk do mety. W tym leży moja zasługa i Twoja, mój Antku!

Bolączki gminnych szkół rolniczych

Nawiązując do artykułu ob. M. Miniasa w Nr 13 „Wsi" „Podstawy isnienia gminnych szkół rolniczych" — pragnę dorzucić parę słów, na podobny temat.

Inspektorat Pow. Oświaty Rolniczej w Szamotułach, Poznańskie, po zaangażowaniu mnie — polecił mi w maju ub. roku, zorganizować piątą w powiecie, gminną szkołę rolniczą (w tym wypadku, męską i żeńską) na terenie 3 gmin: Kaźmierz, Duszniki i Grzebienisko. Chodziło o wybór odpowiedniego budynku, bo te, które były przeznaczone przez Urząd Ziemski wraz z 3 ma 15 ha gospodarstwami, nie nadawały się absolutnie na szkołę, tym więcej, że położone były w bezdrożnych, zapadłych wsiach.

Pełen zapału, pojechałem do pierwszego wójta i przewodn. Gm. Rady Narodowej w Kaźmierzu, gdzie właśnie miała być utworzona szkoła rolnicza, z prośbą o ułatwienie, w zdobyciu, odpowiedniego budynku. Wskazałem na pałac w Nowejwsi, jakby wyznaczony, na ten cel: kolej w miejscu, arterie dróg we wsze strony — okolica ludna. Wójt rozłożył ręce, mówiąc: — Nie da się. Tam mieszka 9 rodzin — niech ich obywatel gdzieś umieści. — Nie szkodzi. Pojechałem dalej. Kaźmierz odpadł. Inspektor Oświaty Rolniczej, wyznaczył teren dla szkoły dla gmin Grzebienisko i Duszniki, w Grzebienisku. I tu wójt nic konkretnego mi nie powiedział, ale ja za to, wskazałem mu Sędziny. Pałac obszerny, wygodny — położenie nad szosą, akurat w środku dwóch gmin. Wójt nie oponował, ale wskazał na trudności te, że resztówka wraz z pałacem, przejmuje Pow. Zw. „Samopomocy Chłopskiej", który musiałby nam zezwolić na użytkowanie. Zaraz też wpłynęły wnioski od Inspektora i moje tak pisane jak i ustne, błagając nie tylko o próżny — kompletnie zresztą, nawet wraz z klamkami — wyszabrowany pałac, ale i dewastujący się 4 ha ogród. Miesiące upłynęły, w niepewności: dadzą czy nie? Na przyrzeczone jednak słowo że tak — zorganizowałem w lecie ub. roku, popularny 2 tyg. kurs rolniczy w Grzebienisku, dla przyszłych kandydatów na uczniów w celu dania im posmaku nauki rolniczej i nawiązania bliższego kontaktu. Kursantom oznajmiłem, że od 1 listopada, powstanie tu szkoła rolnicza z siedzibą w Sędzinach. I tak zostało.

Z subwencji rocznej 35 tysięcy zł. i innych 20-tu „wyposażono" jako tako krzyczące nagością ściany pałacu i rozpoczęto naukę. Z początku, ogarnął mnie blady strach: — przyjdą uczniowie do szkoły, czy nie? — Przyszło ich raptem w... *20 osób. No, w tak*ich warunkach... początki..., tłomaczyłem niepewny. Zaczęliśmy naukę we dwoje, a potem we troje nauczycielstwa. Nadeszły wreszcie mrozy, śnieg... i zimno w salach, urządzonych do centr. ogrzewania (dziś zniszczonego). Ale, kupiliśmy żelazne piece... Uczyliśmy. I mimo tych trudności — skromnoty — mrozów i dużego oddalenia uczniów od szkoły — ilość, wzrosła do 37. Nie zrażała ich ani zła droga ani zimno — byli w szkole co dnia. Po obiedzie (który uczniowie otrzymywali regularnie) nie śpieszyło się uczniom do domu. Woleli zostać w szkole, by tu, zwłaszcza ci słabsi uczyć się, a nawet zostawać po lekcjach po to by korzystać z lekcji nadprogramowych, udzielanych zwłaszcza z polskiego i rachunków przez koleż. kier. oddz. żeńsk. I coraz sprawniej działał też samorząd uczniowski — coraz lepiej wywiązywał się sąd koleżeński uczniów, tępiąc chwasty mowy polskiej z naleciałości germańskich i nieprzyzwoitości słownych.

Tak wrośliśmy w wzajemne zaufanie i stawaliśmy się co dnia bliżsi sobie. Wzrastała pilność i miłość do nauki. Szkoła, stała się szkołą. Czyli jednym słowem, szkoła rolnicza gminna, znalazła grunt i stała się koniecznością i potrzebą wsi.

Szkoda tylko, że nie posiada na miejscu (mimo resztówki) gospodarstwa — ba nawet ogrodu. Dla szkoły rolniczej brakło.

W marcu 1947, przy współudziale rodziców uczniów, zakończyliśmy I semestr zimowy, uroczystym zebraniem uczniowskim. I mimo zaproszenia, nie zjawił się na tą uroczystość ani wójt, ani nawet sołtys. W ogóle, przez cały czas od listopada do końca marca br., nie zjawił się tu nikt z odgórnych czynników. Byliśmy i jesteśmy jacyś sami. Pytam więc, kiedy wreszcie znajdą drogę do gminnej szkoły rolniczej ci, którzy tu pierwsi być powinni? Kto szkole tej ma pomóc, nie tylko materialnie, ale i moralnie? I kto wreszcie ma ponieść konsekwencje za sparaliżowanie i skarlenie rozwiniętych skrzydeł w locie do nauki, młodzieży wiejskiej? Chyba nie nauczyciel i uczniowie, bo ci tu są! Ale trzeba im dać warunki i materialne i moralne.

W. Próchnicki

O książkę i czasopismo

Wędrowałem po różnych krajach przez zgórą ćwierć wieku. Byłem w bycie i wygodach, rozumiałem już inne języki i mógłbym pośród swoich i obcych we świecie beztrosko żyć dalej. Powróciłem do swojej rodzinnej wioski, bo ją kochałem i kocham, choć wiedziałem, że się kalectwa jeszcze nie pozbyła.

Powróciłem. A może pomogę jej. I pomnę, chciałem i chce na ile mi sił i zdolności staje, choć właśni bracia, chłopi, nogi mi podstawiają. Choć żadnego przekonana im nie narzucam i wiary nie ujmuję i innej nie daję, chcę tylko, aby uwierzyli we własne siły i aby nie pojedyńczo, ale gromadą szczęścia szukali. Patrzą jednak na mnie z podełba, bo sądzą, że im zbawienie pośmiertne zatracić pragnę. Tak patrzą na każdą chęć podniesienia ich wyżej ku doskonalszemu człowieczeństwu.

Czasem z powodu tego wezmę pióro do ręki i nagryzmolę żółcią o wsi i braciach moich, ale gorycz mija, bo wiem, że naprawdę nie są źli, tylko tkwią w „tradycji" dziadkowej. Tak, a nie inaczej, ani kroku w przód.

Znam wieś i jej lud. Przez lat 8 wieczorami po pracy we fabrykach włóczyłem się w Stanach Zjednoczonych po osadach polskich z pismami i książkami. Nie dla zarobku i w celu utrzymania się z tej agentury to robiłem. Od lat młodych ukochałem gazetę i książkę. opłacając kilka pism, ciekawy byłem prawie każdej książki. Patrzyłem z boleścią na mój lud wiejski ciężko w Ameryce pracujący przez długie godziny wszystkich dni w tygodniu, zwłaszcza gdy wolny czas wieczorami przy świecie i w niedzielę tracił przy kartach i częstowaniu się wódką.

Pragnąłem im podać jak najwięcej gazet i książek. Księgarnie polskie i wydawnictwa polsko-amerykańskie znały mnie z częstego i każdotygodniowego nadsyłania przedpłat za gazety dla rodaków i z zamawiania książek, a przeważnie broszur.

Wiem, że po przyjacielskiej rozmowie z synem wsi na obczyźnie i tu w kraju można go namówić na pismo i książkę. Po roku odnowi ją sam i stale opłacał będzie, bo z czasem sam przekona się o pożyteczności spędzonego czasu na czytaniu.

Prawda, że weszło się czasem i do takiego domu, gdzie napotkało się uprzedzenie do gazety i książki, gdzie przepędzili ubliżającymi słowami, a nawet miotłą amerykańską z długim drewnianym trzonkiem, ale się wierzyło, że z dobrem, a nie złem szło się do braci rodaków i w następnym domu ktoś przychylnością wynagradzał odnosząc się dobrze do włóczącego się agenta oświatowego i jego gazet i książek.

My nie możemy pozostawić wsi własnemu losowi. Musimy znaleźć drogę do uleczenia jej kalectwa przeszłości. Gdyby było coś re*alnego robione przez czas pomiędzy wojna*mi, to wieś już dziś stałaby inaczej. Kochanie wsi kochaniem. Gadanie, że wieś i chłop to potęga, bo jest nas 70 procent, to tylko gadanie. Wtedy winniśmy mówić o potędze naszej, gdy się uświadomimy narodowo, gospodarczo i kulturalnie. Gdy przez dostarczenie wsi słowa drukowanego zwyciężymy drzemkę wsi, bimber, ciemnotę, zabobony, plotkarstwo, niewiarę wsi w siły wsi. Gdy słowem drukowanym zbliżymy ją do elektryfikacji, radia, lekarza, teatru, organizacji spółdzielczości. Przez słowo drukowane wybrniemy na wsiach naszych z dróg błota, staniemy na twardych drogach do jasnej przyszłości.

Tak Polskę winniśmy odbudować, aby nas przyszłe pokolenia za bezradność nie klęły, jak my dziś szlachtę i magnaterię za nieszczęścia i nędze, jaką nam w spuściźnie pozostawili.

Seweryn Skulski

Administracja tyg. „Wieś" w związku z podwyżką ceny papieru jest zmuszona podnieść cenę numeru do 10 zł. W związku z tym podwyższona została prenumerata.

PRENUMERATA „WSI":

miesięcznie	40 zł
kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł

Należność należy wpłacać przekazem pocztowym na konto Nr PKO VII-1080.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—015763